

ROK I. Nr. 3.

MARZEC 1925.

CENA EGZEMPLARZA: 60 groszy.

DZIŚ I JUTRO
MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ.
ROK I. MARZEC 1925. № 3.



Beato Angelico (1387—1455).

KILKA SŁÓW O TEMACIE ZWIASTOWANIA W SZTUCE.

„Ne timeas, Maria: invenisti gratiam apud Dominum".

„Congratulamini mihi, omnes qui diligitis Dominum, quia cum essem parvula, placui Altissimo: et genui Deum et hominem. Beatam me dicent omnes generationes, quia ancillam humilem respexit Deus".

„Nie bój się, Marjo, znalazłaś łaskę u Pana. Radujcie się wraz ze mną, wszyscy miłujący Pana, bo chociem jest maluczka, upodobał mię Najwyższy. I porodziłam Boga i człowieka. Błogosławioną zwać mię będą wszystkie narody, bo wejrzał Bóg na sługę pokorną".

Jest to antyfona i responsorjum z officjum na dzień Zwiastowania. Jakżeż



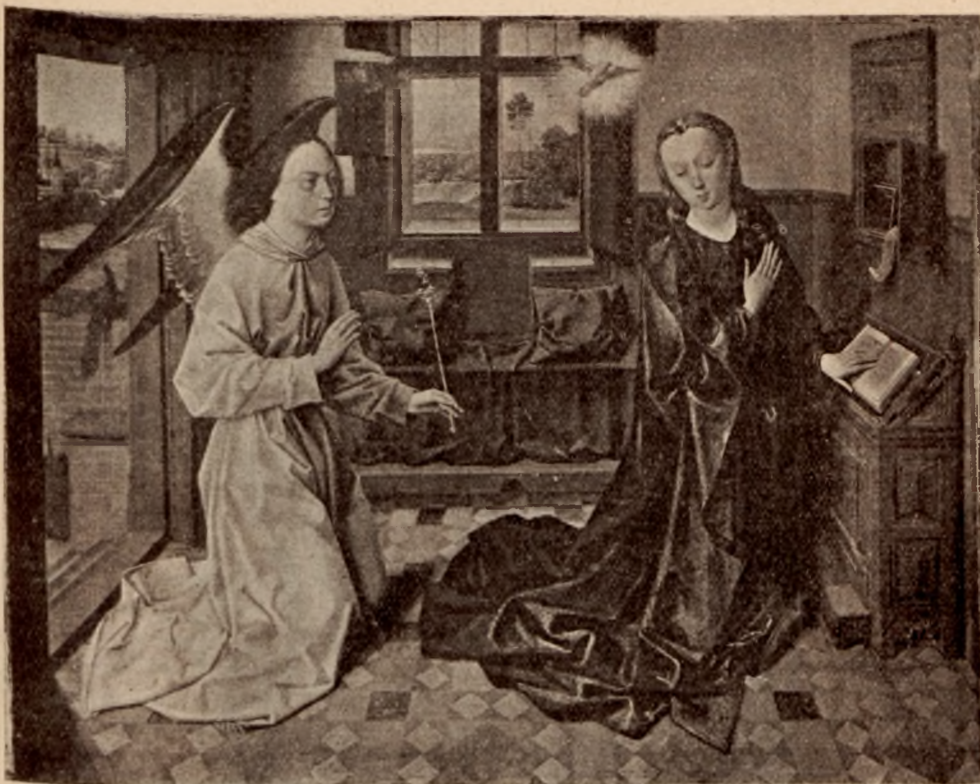
Filippo Lippi (XV w). Zwiastowanie N. M. P.

pięknie te proste słowa łączą wzniosłość z głęboką, pełną liryzmu poezją, i jak pięknie malują tę scenę, która w ewangelicznym opisie tajemnicę mistyczną owiewa urokiem ciszy i słodyczy. Najświętsza Marja Panna jest tam cichą, rozmodloną dzieweczką, którą dopiero posłannictwo anioła uświadamia o czekającej Ją niebiańskiej godności Matki Bożej.

Nic więc dziwnego, że uroku tej sceny nie umiała odczuć sztuka pierwszych wieków chrześcijaństwa, pełna surowości i powagi w wyobrażeniach religijnych — a odczuły i przejęły się tematem Zwiastowania dopiero czasy gotyku.



Leonardo da Vinci (1452—1519). Zwiastowanie N. M. P.



Hugo van der Goes (połowa XV w.).

Sztuka staro-chrześcijańska jest, na-ogół wziąwszy, bardzo uboga; oparta jest całkowicie na wzorach starożytnych i przeważają w niej wyobrażenia symboliczne. Jej surowość i powaga przeszły do sztuki bizantyńskiej i jeszcze się tam pogłębiły. Wyobrażenia Chrystusa i Matki Bożej były nieraz natchnione, o wielkiej hieratycznej piękności — ale ich ponadziemski spokój nie uwzględniał momentów lirycznych w odnoszeniu się ludzi do Boga. I bardzo rychło przerodziły się w schemat, tradycyjnie przekazywany następnym pokoleniom. Do oschłości tej przyczyniła się w pewnej mierze sucha i trudna technika mozajki, głównego środka wypowiadania się ówczesnej sztuki.

Pewien zwrot od abstrakcji i schematu w sztuce ku życiu rozpoczął się już w epoce romanizmu, atoli dopiero gotyk wprowadził do sztuki, wraz z obserwacją natury i pełnię uczuć czysto ludzkich — uczłowieczając, niejako wyobrażenie Boga. Gotyk wprowadził do sztuki element poezji i liryzmu, odkrył poezję i liryzm w Ewangelji; i oto scena Zwiastowania staje się jednym z najulubieńszych tematów sztuki religijnej, poprzez wszystkie wieki aż do dni dzisiejszych.

Na witrażach, a szczególniej wśród licznych rzeźb, zdobiących gotyckie katedry, znajdują się prześliczne Zwiastowania, wzruszające prostotą i religijnem odczuciem; tak samo wśród minjatur

iluminowanych rękopisów. Do czasów gotyku można zaliczyć we Włoszech *Giotta (1266—1377)*, artystę olbrzymiej miary, od którego rozpoczyna się w sztuce włoskiej stanowczy zwrot ku obserwacji życia i człowieka. Wymalował on w Padwie, w kaplicy dell'Arena kilkadziesiąt wspaniałych fresków z ży-



Dante Gabriel Rossetti (połowa XIX w.)

cia Matki Boskiej, pełnych poezji i niezwykłego uroku.

Już właściwie do renesansu należy *Fra Giovanni da Fiesole*, zwany zwykle *Beato Angelico (1387—1455)*. Malował on tylko obrazy religijne. Ozdobił freskami klasztor św. Marka we Florencji, zamieniony obecnie na muzeum. Przyjrzyjmy się jego obrazowi: ileż świętej pokory a zarazem niebiańskiej godności



Wit Stwosz (1438—1533).

widnieje w postaciach Marji i Anioła! Pod tym względem Fra Angelico jest wyjątkowym zupełnie artystą; nazywano go malarzem nieba, a legenda opowiada, że obrazy jego, przerwane wskutek zajęcia lub snu, kończyli za niego aniołowie.

Epoka renesansu, najwięcej może ze wszystkich epok sztuki stworzyła plastycznych wyobrażeń Zwiastowania. Nie było prawie artysty, któryby się tym tematem nie zajmował. A że to był czas niesłychanie bujnego rozkwitu sztuki, który począwszy od Włoch, ogarnął następnie prawie całą Europę, istnieje więc dużo wspaniałych rzeźb i obrazów Zwiastowania. Do wybitniejszych utworów tej epoki zaliczamy piękny, pełen czaru obraz *Filippo Lippi (1405—1469)*.

Arcydziełem rozwiniętego renesansu włoskiego jest Zwiastowanie *Leonarda da Vinci (1452—1519)*, ten przedziwny obraz ciszy, duchowego skupienia, przejęcia się wzniosłością chwili; fotografja nie daje o nim dostatecznego pojęcia, bo wrażenie ciszy i skupienia potęguje bardzo koloryt, o łagodnem świetle u schyłku dnia, przed wieczorem.

Hugo van der Goes, to artysta renesansu holenderskiego; żył w połowie XV w. Postacie na obrazie jego są może nieco prostacze, ale o szlachetnym wyrazie i szczerej pobożności.

W Polsce, na przełomie gotyku i renesansu posiadamy bardzo wielkiego artystę, głównie rzeźbiarza, *Wita Stwosza (1438—1533)*. W wspaniałym tryptyku Marjackim, rzeźbionym w drzewie i polichromowanym, na bocznem skrzydle znajduje się płaskorzeźba Zwiastowania, ze śliczną, dziewczęcą postacią Madonny. Ołtarz ten, to jeden z najpiękniejszych zabytków średniow. sztuki.

Wit Stwosz kilkakrotnie rzeźbił tę scenę; w kościele św. Wawrzyńca w Norymberdze, w tak zwanym Różańcu, jest bardzo piękne Zwiastowanie. Jest też płaskorzeźba tego tematu w muzeum w Hanowerze.

Stulecie następne, do połowy XVII w. przysparza sztuce religijnej cały szereg dzieł ze sceną Zwiastowania w rzeźbie i w malarstwie; ale powoli przejęcie się sztuką religijną słabnie, i w XVIII w. tematami religijnemi artyści zajmują się tylko sporadycznie.

W połowie XIX w. powstaje w Anglji



Ksawery Dunikowski.

bractwo malarskie, t. zw. prerafaelitów. W ich gronie był *Burne-Jones*, twórca bardzo pięknego obrazu Zwiastowania, oraz *Dante Gabr. Rossetti*. Obraz tego ostatniego wywiera wrażenie swoim poetycznym czarem i napięciem dramatycznem, ducha religijnego jednak w nim niewiele.

Czasy obecne obdarzyły Polskę poważną, piękną płaskorzeźbą prof. *Ksawerego Dunikowskiego*.

Brzeska.

PIĘKNO PRZYRODY PIERWOTNEJ JAKO MOTYW JEJ OCHRONY.

(Przemówienie wygłoszone na Walnem Zgromadzeniu Polsk. Tow. Krajoznawczego w Krakowie w styczniu 1925 r.)

Idea ochrony przyrody wniknęła już, jak sądzę, tak głęboko w umysły i serca wykształconych sfer naszego społeczeństwa, że nie uważam za potrzebne rozwodzić się szerzej nad wszystkiemi motywami, skłaniającemi nas do krzewienia tego nowego hasła. Wspomnę tylko, że za najważniejsze uważamy zwykle przytem motyw historyczny lub naukowy. Dwa inne motywy natomiast, mianowicie wychowawczy i estetyczny, rzadziej się stosunkowo wysuwa, aczkolwiek są one niemniej ważne od pierwszych.

W przemówieniu niniejszem postaram się przedstawić Szanownemu Państwu, że i wzgląd na p i ę k n o dziewiczej przyrody jest niemniej godzien uwagi, jak wzgląd n. p. na jej wartość naukową.

Jest to prawdziwem szczęściem człowieka, że może pojmować jako piękno świat zjawisk zewnętrznych, że z prochu jego może wygrzebać czasem rzucone przez Wielkiego Siewcę ziarna, które choć trochę zaspokoją ów odwieczny głód serca ludzkiego za pięknem. Powiedziałem, że jest to szczęściem dla człowieka, albowiem zaiste trudnem, a bodaj że i zgoła niemożliwem stałoby się dla nas przebycie bez owego posiłku żmudnej wędrówki, którą zwiemy życiem.

Cóż to więc jest owo Piękno i gdzie go nam należy szukać? Pytanie, na które nie łatwo pono dać odpowiedź, skoro wieki minęły, a najwięksi myśliciele i artyści jeszcze się na nią nie zdobyli.

W różnych epokach swych dziejów i na różnych stopniach kultury, różne odkrywał człowiek źródła piękna i rozkoszy z niego płynących. Przy całej tej jednak zmienności poglądów estetycznych jeden moment był niezaprzeczenie stałym — świadome, lub podświadome przekonanie o niezmiennem pięknie Przyrody. Ona to, ta Wielka Matka i Mistrzyni uczyła człowieka naśladownictwa nietylko jej tworów pożytecznych, ale również i pięknych. Architektura, którą radzi w tej mierze stawiamy na przykład, na najwyższych swych szczeblach rozwoju zdradzała prócz umiejętności rozwiązywania problemów konstrukcyjnych, także dążność do przyozdobienia swych arcydzieł.

Piękno wschodzącego słońca było źródłem jedynego pojęcia promiennego Boga, piękno i tajemny czar wyiskrzonego nieboskłonu stało się źródłem wiary w inny szczęśliwy świat pozagro-

bowy, piękno wreszcie niezmiernej rozmaitości i bogactwa form w naturze było i jest nadal bodźcem do bliższego zaznajomienia się z niemi.

Piękno więc przyrody jest tem wielkiem, odwiecznie świeżem i potężnem źródłem, z którego płyną niezliczone strumienie, użyźniające duchowe niwy Ludzkości. I dlatego pierwszem jej przykazaniem powinno być zachowanie tego piękna w jego pierwotnej nieskażonej formie.

Oto moja myśl przewodnia, którą postaram się szerzej nieco rozwinąć, rozważając przemożny wpływ tego czynnika przyrody na rozwój człowieka, jego sztuki, nauki, a nawet jego uczuć patrjotycznych.

Piękno przyrody wywiera niedoceniony wprost wpływ na r o z w ó j c i e l e s n y i d u c h o w y człowieka, jest więc, rzec można, czynnikiem eugenicznym.

Człowiek starożytny, żyjący bliżej twórczyni wszego życia mógł łatwiej urzeczywistnić ideał, do którego dzisiejsza odbiegła od przyrody ludzkość zdąża z powrotem — ideał kalokagatiji. O jakże dalecy odeń dziś jesteśmy! Jakże brzydkim i smutnym jest obraz fizycznej i moralnej natury człowieka współczesnego, żyjącego wśród szarych murów miast, w ciasnych, ciemnych i nieprzewietrzanych izbach, ubranego w tandetne łachmany i rujnującego zdrowie ciała w zabójczej pracy fabrycznej czy biurowej i niemniej zabójczych uciechach, a zdrowie ducha w wielkomiejskiem bagnie występku!... Ale czyż może być w tych warunkach inaczej, skoro człowiek ten zatracił już niemal zupełnie wszelką łączność z naturą, skoro wychudłą twarz jego zrzadka tylko pogładzi słońce świetlaną dłonią, dobrotliwe i życiodajne.

Zaprawdę krwawy okup składa Ludzkość na ołtarzu Molocha — Postępu. I tu leży przyczyna tego zjawiska z najnowszej doby, które tak trafnie ujmuje wielki miłośnik przyrody i jej obrońca, Jan Gwalbert Pawlikowski: ...„dzisiejszy stosunek do natury nosi cechę przeciwstawienia się kulturze... Natura jest tą kąpielą ożywczą, która przywraca siły wyczerpane w świecie ludzkim, jest zaciszną świątynią, w której dusza... staje oko w oko przed sobą samą i przychodzi nad sobą do refleksji, jest miejscem oczyszczenia z tego wszystkiego, co przylgnęło do nas jako obce i narzucone... Ukochanie natury, którego nauczycielami byli dla nas sztukmistrze, szukający bezcelowego piękna, ujawniło swe wartości społeczne, jako źródło skrzepienia dusz i ciał...“ Zaiste ludzkość dzisiejsza podobną jest do legendarnego Tytana Anteusza, którego, gdy już upadał zmożony walką, cuciło i do sił przywracało dotknięcie łona matki, ziemi...

Takiem cudotwórczem dotknięciem dla znużonej nowoczesnej ludzkości jest zwrócenie się do wolnej przyrody. I w tem pragnieniu odetchnięcia pełną piersią szukać należy przyczyny rozwoju nauk przyrodniczych, krajoznawstwa, skautu, sportów, jak alpinizm, narciarstwo, kolarstwo i wioślarka, słowem tych wszystkich czynników, które ułatwiają zbliżenie się i obcowanie człowieka z piękną, pierwotną naturą.

Krzewienie wreszcie miłości i litości dla przyrody przyczyni się być może, z czasem do ożywienia w sercach ludzkich podobnych uczuć i w stosunku do bliźnich. Słusznie bowiem zauważa Ruskin, że nie można żądać od ludzi współczucia dla natury, skoro nie mają współczucia dla siebie samych. Hasło ochrony przyrody, jest więc pośrednio hasłem pokoju i miłości!

Piękno przyrody jest nieprzebraną skarbnicą, z której czerpała i czerpać będzie zawsze — s z t u k a.

I błędnem jest twierdzenie, że owa wielka miłość ku przyrodzie jest obja-

wem niedawnych stosunkowo czasów, że n. p. starożytność nie odczuwała jej w takim stopniu.

W rzeczywistości sztuka dawna nie wypowiadała może tego uczucia w sposób tak egzaltowany, jak to czyni sztuka nowoczesna, ale czyniła to wcale nie z braku miłości ku przyrodzie, lecz dlatego, że człowiek ówczesny nie odbiegł tak dalece od przyrody jak człowiek dzisiejszy, że czuł się dlatego jej cząstką organiczną. Nie miał poprostu potrzeby zbliżania się do przyrody, skoro się od niej nie oddalił, ani nawiązywania węzłów, których wcale nie zerwał!

Tymczasem człowiek nowoczesny, przez rozrost niepomierny kultury odsunął się od swej Macierzy, którą do tego jeszcze zgoła nie po synowsku wyzyskał, a często skrzywdził i pohańbił. A opamiętawszy się po niewczasie poczuł smutek bezmierny i żal, zwątpił w kulturę, którą się tak .chlubił i dla której porzucił Przyrodę — Matkę i wrócił do Niej...

I oto od czasu romantyzmu t. j. od owego nawrotu ku pierwotnej naturze jesteśmy świadkami rozbudzenia się w sztuce przemożnego uczucia ku przyrodzie, uczucia, którem przepojone są wszelkie twory pióra, pendzla i tonu po dobę obecną. Brak czasu nie pozwala mi przytoczyć wyjątków ż owych arcydzieł, na cześć piękna przyrody i z nieogarnioną ku niej miłością pisanych. Znacie je zresztą wszyscy te perły poezji naszej od „Pana Tadeusza“ i „Sonetów Krymskich“ począwszy, aż po tytaniczne „Sonety tatrzańskie“ Nowickiego, Tetmajera czarowne baśni i legendy „Skalnego Podhala“, liryki tatrzańskie Kasprowicza, Żuławskiego, Staffa i wielu, wielu innych. Znacie dalej obrazy pejzażystów tej miary co Chełmoński, o którym krytyka powiada, „że odkrył poezję krajobrazu polskiego“, i że jemu „dzisiejsze pokolenie artystów polskich w znacznej mierze zawdzięcza zrozumienie wartości tych skarbów, jakie dla sztuki otwiera przyroda i lud“. Znacie wreszcie utwory Karłowicza tego samotnego wędrowca po dolinach i graniach Tatr w pogoni za upragnioną ciszą, w której słuchał tajemnej muzyki przyrody i dla której położył nawet w ofierze swe młode życie!

Oto parę nazwisk przywódców nieprzejrzanego hufca artystów, którzy najpiękniejsze swe dzieła tworzyli natchnieni pięknem dziewiczej przyrody.

Z niego wypłynęła pierwotna sztuka człowieka i ono zasilało i zasilać ją będzie póki tylko człowiek patrzy na przyrodę i póki — będzie miał na co patrzeć.

Piękno przyrody jest, rzec można, źródłem naszych u c z u ć p a t r j o t y c z n y c h. Pojęcie „ojczyzny“ i miłość ku niej wyrosły z pojęcia i umiłowania ziemi ojczystej w węższem znaczeniu, czyli „ojcowizny“. I słusznie znowu powiada Pawlikowski, że „...miłość ojczyzny... jest właściwie zawsze tylko idealną projekcją realnego, organicznego uczucia, które nas łączy... z ziemią rodzinną w ścisłem znaczeniu. Mickiewicz, kiedy mówi „Litwo, ojczyzno moja“, nie jest przecie wyznawcą separatyzmu litewskiego, ale piękność ojczyzny widzi tylko i widzieć nie może inaczej, jak przez pryzmat ziemi rodzinnej, którą mu jest Litwa...“

Ruskin również wprost przyznaje, że w zapatrzeniu się w rodzinne widnokręgi odnajdziemy źródło patrjotyzmu.

Krajobraz stanowi jakgdyby ukochaną twarz matki-ojczyzny. Kiedy dumamy o ojczyźnie, nie wyobrażamy sobie wówczas zgromadzenia wyłysiałych i czarno ubranych panów, gestykulujących w blasku gazu parlamentarnego... widzimy raczej karonkę gór, ruchome wody rzek, niebieskie półkola przejrzystych zatok... I im piękniejszem jest to widzenie, tem bardziej kochamy ojczyznę, której jest ono odbiciem...

Widzimy więc z tego, że piękno ojczyzny jest równie wielkim darem natury jak pokłady węgla lub kruszców, skoro dobyć zeń można najcenniejszy skarb — to jest miłość ku ziemi ojczystej. To też wprost obowiązkiem każdego szczerego patrjoty powinna być troska o ochronę jej piękna, gdyż w przeciwnym razie wszystko co uczynimy dla uwiecznienia idei ojczyzny mało będzie warte, jeśli nie uwiecznimy równocześnie jej ukochanego oblicza.

Podobne jak dla omówionych dotychczas objawów życia człowieczego, ma piękno przyrody znaczenie i dla nauki, dla jej powstania i rozwoju.

„Niemasz myśli — powiedział Nietsche nad myśli, wychodzone (ergangene Gedanken) wśród wolnej natury“ a wedle Helmholtza, największe wynalazki robi się patrząc z wyniosłego punktu na majaczącą przed nami przestrzeń. Jest to objaw zupełnie zrozumiały, na tle tego cośmy powiedzieli poprzednio o błogosławionym wpływie piękna natury na całe jestestwo człowieka i dlatego nad sprawą tą nie będę się tu dłużej zatrzymywał.

Z krótkiego tego wywodu widzimy więc, że istotnie piękno przyrody jest walnym czynnikiem, kształtującym przedewszystkiem samą naturę człowieka tak cielesną jak i duchową, że jest źródłem całego jego dorobku umysłowego, jego sztuki, a nawet uczuć patrjotycznych.

Piękną zaś w najpełniejszem tego słowa znaczeniu jest tylko przyroda pierwotna, ręką człowieka nienaruszona. Tu pozwolę sobie przytoczyć jeszcze raz słowa mego przyjaciela duchowego Ruskina: „Bezwątpienia — powiada on, resztki przyrody, a więc i resztki piękna, tkwią nawet w roślinie poćwiartowanej w szpalerze, nawet w drzewie strzyżonem, ...nawet w palu... Lecz są to tylko jakby wspomnienia i nikłe resztki wielkiej męczennicy — przyrody. Możemy je nawet jeszcze kochać, jak kochamy uwiędłe, pomarszczone i zeszpecone rysy, drogiej nam ongiś twarzy, lecz nie możemy już widzieć w nich pierwowzoru i sprawdzianu piękna. Przyroda jest nim jedynie wówczas, gdy jest dziewiczą, przestaje bowiem być samą sobą z chwilą, gdy wpływ jakiś plami i paczy jej dziewictwo“.

A więc chrońmy pierwotną przyrodę dlatego tylko samego, że jest — piękną!

Dr. Marjan Sokołowski.

JEDNOLATKI.

Opowiadanie z życia.

„Ojców praca, myśl i cnoty,
To narodu są klejnoty,
A z ojcami ten obcuje,
Kto wspomnienia ich szanuje“.
X.

Jednego z dni ubiegłego lata, dwóch ludzi stanęło mi przed oczami, dwie sylwetki z dwóch krańców Polski: kresowiec z jej zachodu, i kresowiec z naszych wschodnich połaci Rzeczypospolitej. Ci ludzie nigdy się z sobą nie widzieli, i nigdy już chyba nie spotkają, a jednak stoją obok siebie w świecie wielkich idei, wielkich trudów i poświęceń.

Obywatele Ziemi przedmurza Chrześcijaństwa, oblanej krwią i łzami stuleci, Obrońcy jej.

Obaj w tym roku bieżącym liczą 90-ty, wyraźnie, dziewięćdziesiąty rok swego życia. Obaj starce białowłosi, zdający sobie sprawę ze szczęścia doczekania Polski Wolnej, obaj mający doskonałą pamięć przeszłości, gorące ukochanie służby za „Wiarę i Ojczyznę“ i dziwnie jeszcze świeże odczuwanie radości i bólów odradzania się państwowego Polski.

Różnią się tylko dwoma rzeczami: jeden był bojownikiem, o prawa ciemiężonego narodu, na arenie parlamentarnej; drugi — stał w szeregach powstańczych, aż oblał się krwią na cichej polanie litewskiej.

Jeden swój rok dziewięćdziesiąty rozpoczął w uznaniu i hołdzie kraju i wielkiego rodu, którego jest członkiem; drugi — samotny, nie krewny nikomu, musiał sam zatroskać się o dach nad swą głową, bo nie miał żadnego na ten rok właśnie.

Ci obaj ludzie — żyjący — nie przeczytają nigdy tego co tu piszę, i dlatego mogę ich nazwiska wymienić.

To niby podpis pod starym portretem o kolorycie zamglonym, jakby przez falę czasu „niewierną — a tak wierną“!

I.

Księcia Ferdynanda Radziwiłła poznałam dziesięć lat temu w Rzymie. Nikt wtedy nie przeczuwał, że Duch Dziejów już rozpościera skrzydła do wstrząśnięcia ludzkością, aby z krwi ciemiężców i ciemiężonych wydobyć wolność dla tych ostatnich. Zima 1914 roku była taka sama jak dużo zim niewoli na polskich błoniach. Kto mógł — weselił się, kto mógł, szukał miejsca na roztrzęsienie po świecie wszystkiego co gryzło mu duszę. Garść Polaków znalazła się w Rzymie, wśród morza cudzoziemców, zalewających starą stolicę świata, w sezonie karnawału.

Szczęśliwym darem losu znalazłam się ja wśród tej garści pielgrzymujących po polsku na sezon wielkopostny i Wielkanocny.

Któregoś dnia na rannej mszy w kościele Kapucynów, uderzyła moje oczy postać o białej głowie i dużych srebrnych wąsach, klęcząca koło filaru. Po twarzy zamodlonej a jeszcze czerstwej i rumianej, toczyły się dwie duże łzy... Wśród tylu obcych typów, ujęła mnie ta postać, od której szło jakieś rodzime i ciche jakby ciepło.

Po wyjściu z kościoła dowiedziałam się, że to był poseł w Izbie panów w parlamencie niemieckim, książę Ferdynand Radziwiłł, już wtedy osiemdziesięcioletni.

Zostałam mu kiedyś przedstawioną w którymś salonie naszej Polonji w Rzymie i odtąd spotykałam często.

Uderzyły mnie w tym człowieku trzy cechy:

Nienaruszalność wiary, nieustępliwość w powadze prawa, i pewna pogoda w braniu życia codziennego.

Wiara jego — miała cechę poczucia niewystarczalności ludzkich środków obrony na szańcu parlamentu najmądrzejszych z ciemiężców, a jednak twarde pełnienie obowiązków w imię ufności w opiekę i sprawiedliwość Bożą,

Powaga prawa, wyznawana przez niego — opierała się na wierze w żywotność niespożytą narodu i miała hart i kamienną wytrwałość obrończą wobec zaborców. Mowy jego parlamentarne, znane z prasy, nie olśniewały elokwencją kunsztowną, ale brzmiały zawsze donośnie i twardo, gdy chodziło o protest przeciw uciskowi kościoła i polskości.

A nie musiało to być łatwe wobec jego bliskiego pokrewieństwa ze starym cesarzem Wilhelmem I. i potem z ówczesną potęgą, Wilhelmem II. I oto przeżył na swym szańcu Bismarka, prawa Majowe, Wrześnię, wiece nieme, kolonizację i wszystko co deptało prawa człowieka i narodu, dla którego

wynaleziono określenie „minderwärtige Nation". Patrzał na cześć hasła „Faust vor Recht" „pięść przed prawem", szedł na mszę św. ranną codziennie, i... trwał!

Spoglądałam ze czcią na tę niezgiętą białą głowę bojownika i z wewnętrznem drżeniem serca myślałam w sobie, że to wszystko takie beznadziejne...

A genjusz Dziejów, gdzieś z niewidzialnej dali, już nadlatywał; od szumu jego skrzydeł już gdzieś drżały nieobjęte przestworza, i groza wojny ludów już wzbierała w tajemniczych głębiach. Od wybuchu dzieliło nas kilka miesięcy.

Sędziwa postać księcia posła zdawała się mówić: „Contra spem — spero"!

Z towarzyskiego obcowania, odczułam w nim dziwnie ciepłą serdeczność dla Polaków wszystkich zaborów, ale może najcieplejszą dla nas z historycznej Litwy.

Jako Ordynat Ołycki z Litwy wraz ze swą żoną, oboje księstwo gromadzili w willi swej w Rzymie nietylko swoją rodzinę, ale prawie całą Polonję bawiącą tam, i sędziwy gospodarz domu, z ujmującą prostotą dobierał kółka i kółeczka, aby zaznajamiać i łączyć rodaków. Patrjarchalne „święcone" zgromadziło nas tam prawie wszystkich, i zostawiło mi bardzo miłe wspomnienie.

Nieopuszczała go też pewna żartobliwość, jowialność właściwa rodowi Radziwiłłowskiemu, przypominająca może niekiedy „panie kochanku" — tylko wysubtelniona kulturą. Pokazując mi kiedyś obrazy w swoim domu odezwał się:

— A teraz — pokażę pani rzecz, która się bardzo pani niepodoba: Oto obraz haftowany przez moją babkę, Ludwikę Pruską!

I z uśmiechem ojcowskiego pobłażania, wysłuchiwał mojego zapewnienia, że w sztuce, na takiego laika, jak ja, najprzód robi wrażenie c o, a nie k t o, bo to drugie jest rzeczą intellektu.

Raz kiedyś odbył się między nami pojedynek: między uszanowaniem dla wieku z mojej strony, a jego polską galanterją dla niewiast.

Po długiem nabożeństwie wielkotygodniowem w kościele Santa Maria Maggiore, późnym, chłodnym wieczorem książę poseł zabierał towarzystwo, którego cząstkę stanowiłam, do swego auta. Wolę zawsze powozy odkryte, ale na mój projekt umieszczenia się koło szofera, książę tak fuknął kategorycznie, że cichutko musiałam usiąść na jego miejscu, narażając na chłód osiemdziesięcioletnie jego płuca.

I polska cześć dla kobiety, zrobiła pewien efekt wśród ciżby pobożnych na włoskim placu.

Dziś — po wielkiej wojnie i przewrotach, kiedy jego rodowe gniazda, Nieśwież i Ołykę zrabowano i zbezczeszczono, a rodzinę wygnano właśnie przed kilku dniami, obchodziła w Wielkopolsce, w swoim Antoninie, brylantowe gody, ta sędziwa para. Książę kończył rok 90-ty. Ktoś z jego rodziny przysłał mi właśnie opis tej uroczystości w liście.

Jakże wyglądał ten mocny człowiek? A oto świadek mówi:

„Ponieważ Ferdynand przez lat 44 bronił wszystkiego co polskie i katolickie przed Niemcami, na te jego brylantowe gody zjechali się przedstawiciele całej Polski. Oprócz rodziny i rodów spokrewnionych były delegacje: stowarzyszeń różnych, cechów, skautów, kolejarzy, chłopów, gmin, nawet z Ołyki przekradli się przez kordon wierni i przywiązani doń ludzie. Najpiękniejszą była chwila, gdy staruszkowie oboje, bardzo jeszcze czerstwo wyglądający, weszli do kościoła, opierając się na swych złotych laskach z buławami ze złotych godów, dziesięć lat temu obchodzonych. Po nabożeństwie, przed pałacem ustawione delegacje, składały

życzenia swe i powinszowania. Trwało to przeszło godzinę, i Ferdynand stał cały czas, odpowiadając na wszystkie mowy. Był poprostu nadzwyczajny. Mówił krótko, zwięźle, serdecznie, i z taką przytomnością umysłu, że się wszyscy dziwili jego wytrzymałości w tym wieku. Dalszy ciąg mów jego trwał przy stole, do którego para jubilatów zasiadła ze wszystkiemi delegacjami w ilości stusześćdziesięciu osób. Mówił o tem, w imię czego żył i żyje: o religji i Ojczyźnie, poprostu wspaniale. Całą tę uroczystość urządziły dzieci — rodzicom. Wybudowany był w tym celu osobny pawilon z desek, wewnątrz obity makatami i gobelinami, ocalonemi z Ołyki, z frontem ustrojonym w arkady zieleni i kwiatów, a wszystko zalane elektrycznem światłem. Na stołach, przybranie z kwiatów jednego koloru, przywiezionych z Nieborowa... To wszystko było bardzo uroczyste i estetyczne!“

To wszystko, dodajmy, było chwilą spożywania w słońcu Wolności, owoców zmagania się z niewolą, i czterdziestoletniej wytrwałości człowieka mocnego.

A moc tę dała mu Wiara i Miłość.

II.

Tego samego dnia, gdy otrzymałam powyższy opis, który mi przypomniał czcigodną postać, wypadek zdarzył, że zrobiłam znajomość z człowiekiem, liczącym również rok życia dziewięćdziesiąty.

We dworze, w okolicach Wilna, gdzie spędzałam wakacje minionego lata, w piękny dzień sierpniowy, na dróżce wśród klombów, stanął przedemną człowiek niecodziennego wyglądu. Ubrany był w długi czarny surdut z pewną przyćmioną elegancją, opierał się o dwa cienkie, wysokie kije, które go przerastały. Z pod wysokiego kaszkietu weteranów z 63 roku, wyglądała twarz lekko zarumieniona spacerem, a długie białe wąsy spuszczały się w dół, dając wraz z kołnierzykiem białe ramy rysom oblicza. Szczupły, mizerny, pochylony, miał w sobie jednak jakąś czupurność i dostojność. Pszedstawił mi się, salutując: Szymon Karol Surewicz.

Przyszedł pieszo, z sąsiedztwa o trzy kilometry, gdzie dotąd mieszkał przez lat kilkanaście. Ale teraz zabrakło tam dlań miejsca. Tak bywa czasami w życiu. Tak się składa. On już ma lat 90. Na lato przenieśli go do izby nauczyciela przy szkole. Ale teraz i nauczyciel i dzieci wracają, bo rok szkolny się zaczyna i „niema gdzie się podziać!“ — Przyszedł tu dowiedzieć się, czy we dworze, gdzie duży pałac stoi pusty prawie przez zimę, nie znajdzie się dlań izdebka z opałem. Na resztę ma swój dochód. Pobiera emeryturę od rządu polskiego przecież. A jakże! Pięćdziesiąt złotych miesięcznie, nie aby co.

Mówił z prostotą i godnością pewną, uważając to za naturalne, że oto, w 90-tym roku życia, „tak się złożyło, że on nie ma się gdzie podziać“.

Zaprowadziłam go do pań domowych, i w dworze tym — został.

Obmyślono mu pożywienie, lokatę, urządzenie życia w drobiazgach, które przewidywać umie tylko kobieta. I odtąd spotykałam go często na dróżkach, już bez kija, idącego zawsze celowo i z zadziwiającą ruchliwością krzątającego się w nowej siedzibie. Z balkonu słyszałam odgłosy kucia młotkiem i dolatywały mię zapachy farb. Staruszek sam przyozdabiał swój pokój, i malował białą farbą szpary między białemi kaflami pieca. Odpowiadał na pytania: „Bo to ja bardzo lubię porządek, a jest wtedy najporządniej, gdy ja sam sobie wszystko zrobię. Jestem stary kawaler i umiem myśleć o sobie“.

I wcale nie potrzebował usługi żadnej. Spotykałam go na dróżce idącego z wysokiej góry z dzbankiem po wodę.

— Ja pani dobrodziejko jestem aptekarz — objaśniał — całe życie piłem wodę filtrowaną gruntownie, i na wodzie się znam. Zbadałem zaraz po przyjeździe wszystkie cztery studnie tutejsze, i wiem, że ta, ocembrowana cementem, jest najlepszą. Służące będą mnie oszukiwać i dadzą wodę jaką inną: wolę nosić sobie sam.

Kiedyś zaprosiłam go na ławkę w ogrodzie obok siebie, aby go wypytać o koleje długiego życia.

— Moje dzieciństwo przeszło w Wilnie — opowiadał. — Ojciec mój był dyrektorem teatru wileńskiego, kiedy to Moniuszko dawał tu swoją „Halkę“, a Leszczyński zachwycał na przedstawieniach. Cała owoczesna inteligencja bywała u nas. Pamiętam Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Andriolego, ale najlepiej Syrokomlę, bo i my, dzieci, bywaliśmy u niego chodząc z Wilna pieszo do bliskiej Borejkowszczyzny. To on o tej ubogiej dzierżawce swojej śpiewał:

„Nie mój to domek, nie moja gleba,
Co mi chleb rodzi przez lato;
Moim jest tylko ten kawał nieba,
Co mi tu świeci nad chatą“.

Słuch miał wyborny, wzrok doskonały i mówił stylem trochę wymuszenie doborowym.

— Było nas kilku synów w domu, i matka trzymała nas bardzo surowo. Zato ojciec, choć rzadko przebywał w domu, ale pieścił nas i dogadzał we wszystkiem. Matka miała dyscyplinę o pięciu rzemieniach z węzełkami. Pani dobrodzika pewno dyscypliny nigdy w życiu nie widziała? A jakże! Niemodna — naturalnie! Ale nas, matka za lada psotę kazała rozkładać, i sama administrowała karę. Pamiętam, że raz, gdy była chorą i ruszyć się nie mogła z łóżka, kazała ojcu, przy temże łóżku wydzielić nam oznaczoną przez nią ilość napomnień. Biedny ojciec wypraszał się od tej ceremonji, ale nic nie pomogło. Dostaliśmy obaj z bratem ile matka przeznaczyła. Zato ojciec, który bolał nad tem pewno więcej od nas, napełnił nam kieszenie różnemi słodyczami przyniesionemi z miasta, pod sekretem przed matką. I tak jakoś wychowaliśmy się i pokończyli szkoły i zakłady wyższe. Po śmierci matki, swoboda nasza w domu była nieograniczona. Szczególniej ja, który miałem żywy charakter, dokazywałem co się dało. Lubiłem strasznie konie, i mając własnego, pewnego razu wjechałem konno na piętro do naszego salonu, gdzie mój koń harcowaniem doszczętnie posadzkę poniszczył. Najgorzej było przy powrocie na dwór po schodach, co koniowi szło z trudnością, a na co się zbiegła cała ulica. Ojciec pozwalał nam na wszystko. W końcu miał widać dosyć tego wszystkiego i wymógł na mnie abym pojechał do uniwersytetu. Doradzono jemu i mnie farmaceutykę, którą skończyłem w Moskwie. Odtąd zarządzałem aptekami w różnych naszych miastach, miałem zakład fotograficzny w Kownie, który doskonałe mi dawał dochody. W tym czasie ojciec mój był inspektorem teatrów w Warszawie, i na tem stanowisku zmarł, pielęgnowany przezemnie do końca. Zostałem sam. O posady było coraz trudniej. Zamieszkałem na wsi i tu mnie każdy z okupantów okradł ile mógł. Wojska rosyjskie, cofając się, spaliły dom w którym mieszkałem i wszystkie moje książki, notatki, i zbiory po ojcu i bracie. Niemcy pokradli co się uratowało, a bolszewicy i Litwini rozgrabili wszystkie moje

„porządki“: kilka par okularów, scyzoryki, narzędzia do majsterki i t. p. No! i teraz dogorywam — ale widzę Polskę!

Zapytałam o udział w powstaniu. Ożywił się.

— Nie! zesłany ani więziony nie byłem. Cudem jakoś to się stało. Wyszedłem do powstania w Suwalszczyźnie, gdzie wtedy pracowałem w aptece. Straż pograniczna miejscowa uciekła. Zabraliśmy jej konie i w paręset ludzi ruszyliśmy. Pod Czystą Budą spotkali nas Kozacy i rozbili do szczętu. Jeden z nich piką pchnął mnie w bok, ale jednocześnie od kuli mego pistoletu sam runął z konia. Wtedy mój koń poniósł mnie na oślep. Wkońcu instynkt jakiś skierował i konia i mnie do Suwałk. Wpadłem na dziedziniec swojej apteki, i tam już ściągnięto mnie z konia. Musiano rozkroić but pełen krwi zakrzepłej, opatrzono, uchroniono w tajemnicy, w ukryciu. Są dobrzy ludzie, o, są! Po wyleczeniu się przyjechałem oficjalnie do Wilna, gdzie dostałem zajęcie. Pozostała po tej ranie blizna, zaczyna mnie teraz boleć bardzo, zwłaszcza na zmianę pogody, czego dawniej nie odczuwałem.

Nie lubił nad sobą rozczulać się i raz tylko dojrzałam łzy w jego oczach. Zapytałam go czy pamięta rządy generał-gubernatorów wileńskich i których?

— Wszystkich! — odparł krótko — tego się nie zapomina. Z czasów Murawiewoskich jednej chwili nie zapomnę do śmierci, chwili tracenia Sierakowskiego. Artysta Leszczyński wyciągnął mnie z domu na plac kaźni, mówiąc, że skazanemu lżej umierać, gdy widzi swoich i tę Polskę, za którą daje życie. Poszliśmy, ale ja nie wytrzymałem: w chwili zakładania stryczka wyrwałem się od Leszczyńskiego, który mnie za rękę trzymał, i uciekłem przed siebie ku miastu. Na początku uliczki dziś zwanej Gdańską, obejrzałem się na plac Łukiski. Wysoko, na szubienicy, drgał trup Sierakowskiego.

Milczałam długo. Wkońcu chcąc zmienić prąd jego myśli, zapytałam:

— A co pan mówi o teraźniejszej młodzieży naszej?

— A cóż ja pani dobrodziko mogę o niej mówić, kiedy ja jej nie znam! Widuję to tego dużo i na wsi latem, i w Wilnie, gdzie jeżdżę co miesiąc po emeryturę, ale oni przecież ze staremi nie lubią przebywać i rozmawiać. O ile miarkuję inni są ci młodzi niż my. Tak zresztą i trzeba.

Wiem tylko jedno, że my gdy byliśmy młodzi, wierzyliśmy w Boga i w Polskę, i kochaliśmy Boga i Polskę. Oni widać, że też wierzyli i kochali, jeśli ta Polska dziś jest. Szczęśliwsi od nas. My służąc tej Polsce, nie myśleliśmy, aby od Niej otrzymać nagrodę, dostać cokolwiek: szarżę, posadę, pensję, ziemię rozparcelowaną, order, władzę, popularność.

— Nie myśleliśmy, bo służyliśmy Męczennicy Ubogiej i Umiłowanej. I jakoś przeżyliśmy i dożyliśmy.

Gdy staruszek już miał odchodzić i zabierał się wkładać palto, zerwałam się, aby mu je podać.

Spojrzał na mnie prawie groźnie i głosem gniewnym rzucił:

— A to co za amerykańskie obyczaje? Tego nigdy polska kobieta nie robiła!

I podobny pojedynek między uszanowaniem dla całego prawie stulecia, a galanterją dla kobiety, odbył się, jak ongiś na placu włoskim z księciem, w cichym dworze polskim, z aptekarzem.

Obu wykołysała zachodnia kultura rycerskiego narodu przez te same lat dziewięćdziesiąt.

I przez długie dni pięknej jesieni te-

gorocznej, widywałam wśród drzew kolorowych otaczających dwór stary, ze śladami kul wrażych niedawnych, wysoki granatowy kaszkiet z Białym Orłem, na głowie srebrzącej się w słońcu. Przytuliły ją ściany kresowych murów, wstających do nowego życia.

Galin, 1924. *Ludwika Życka.*

EMILJA SCZANIECKA.

1804—1896.

Imię Emilji Sczanieckiej niezatartemi zgłoskami wyryło się na kartach naszych dziejów porozbiorowych.

Działalność swą zaczyna w chwili wybuchu powstania listopadowego. Sprzedaje część swego majątku, aby pokryć koszta uzbrojenia pułku poznańskiego. Sama jednak nie chwyta za broń, bo czuje, że siły jej nie dorosły do walki orężnej. Przedziera się jednak przez granicę, by stanąć na posterunku jako siostra szpitalna.

W połączeniu z Klementyną Hofmanową, Klaudyną Potocką i kilku innemi paniami, zajmuje się urządzeniem lazaretów i pielęgnowaniem rannych.

Jak ciężkiem zajęcie to było, jak trudno kobiecie przywyknąć do krwi i ran, jęków i śmierci dowodzi opowiadanie, które tu podaję za autorką życiorysu Sczanieckiej, drukowanego w „Przeglądzie Polskim" z 1897 roku.

„Straszny widok ran nieszczęśliwych ofiar, duszne powietrze lazaretu, rozpaczliwe jęki konających, zrazu tak na mnie podziałały, że całemi dniami nie byłam zdolną przyjąć żadnego pożywienia. Dopiero wieczorem, gdym z Wolskich rogatek wracała do mego mieszkania, w pałacu Łubieńskich, mogłam nieco siły me pokrzepić. Te jednak stopniowo opadały, byłam osłabioną i zmienioną, iż zwróciłam na siebie uwagę, pewnej miłosiernej rzeźniczki, która także chorych pielęgnowała. „Pani tak strasznie mizerna, zaczepiła mnie pewnego wieczora, gdyśmy razem pełniły służbę —



Emilja Sczaniecka.

uważam, że pani nic nie je, dlaczego? „Tutaj nie mogę — odparłam smutnie —

nadto mi przeciwna kuchnia lazaretowa". Dobra kobieta użaliwszy się nademną przyniosła z domu zapas żywności i odtąd codziennie to samo czyniła, pilnując, abym wszystko spożyła sumiennie. Ta tedy opieka zacnej rzeźniczki ocaliła mi wtedy życie. Stopniowo siły wracały, byłam jednak jeszcze bardzo wrażliwą i niezahartowaną na widok śmierci lub konania. W moich oczach kończył właśnie nieletni chłopak, który zaledwie w pierwszej życia wiośnie już życiem przypłacił bohaterski zapał w nierównej z nieprzyjacielem walce. Był to jedynak — ostatnia pociecha, nadzieja owdowiałej matki, toteż żal mi było serdecznie tego młodego życia i tej samotnej wdowy. On począł gorącemi słowy, zaklinać mnie, abym oddalonej matce doniosła o jego śmierci, a hardy wobec kul nieprzyjacielskich teraz rzewnie płakał, wspominając, że drogiej twarzy matki już nigdy nie zobaczy! Więc i ja słuchając rozdzierających słów pożegnalnych młodzieniaszka zalewałam się łzami... Wtem posługacz lazaretowy, widząc moje rozrzewnienie, zapytał: „Czy to brat pani umiera?" „Nie", odpowiedziałam. „No to pewno, który z przyjaciół?" „I to nie, ja go nie znałam wcale!" „Moja pani" — rzekł na to szorstko — jeśliś taka płaksa, idź do domu, tu nie miejsce dla ciebie!" Proste słowa posługacza wywarły na mnie silne wrażenie i odtąd też lepiej starałam się panować nad sobą, a w tych strasznych chwilach mnożyły się tragiczne wypadki i trzeba było mieć dużo zasobów energji, aby nie upaść na duchu".

Siłą woli zapanowawszy nad sobą, wykształciła się Sczaniecka wkrótce na dobrą pielęgniarkę, uwielbianą przez chorych. Roboty jej nigdy nie brakło. Po każdej bitwie mnóstwo rannych przywożono do Warszawy, a najgorzej było, gdy wybuchła cholera. Epidemja ta okropna rozszerzała się z dniem każdym. Setki ludzi błagało o pomoc. Panna Sczaniecka przy boku nieustraszonego lekarza, Karola Marcinkowskiego, wytężała swe siły, by podołać ciężkiemu zadaniu niesienia ulgi, nie myśląc o zarazie, nie bojąc się jej. Ale cholera i ją dosięgła i zatrzymała w łóżku, a gdy ledwie wyzdrowiała, znów rzuciła się służyć rannym, a służyła nietylko ich ciału, ale czyniła wszystko co mogła, by ulżyć ich duchowym cierpieniom. Tu miała słodkie słowa pociechy i nadziei, tam pisała pod dyktandem chorego list do jego dalekich ukochanych, temu odczytywała modlitwy lub listy nadeszłe do niego, załatwiała przesyłki do rodziny. Służyła długie miesiące i dopiero w chwili zajęcia Warszawy przez moskali, wyjechała w przebraniu z Klaudyną Potocką. Ucieczkę ułatwił im jenerał Witt. Klaudyna Potocka trudami szpitalnemi sterana na zdrowiu, udała się zagranicę, gdzie w kilka lat później w bardzo młodym jeszcze wieku zmarła. Pięknie ją opisuje Odyniec, mówiąc o niej:

„Tyś w moich oczach wyższą od ziemianek,
Wyższą duszą kobiety, Polki, chrześcijanki,
Blask Twój ziemski mych myśli rozprószył [ślepotę,
Wiem dziś jak kochać Boga, kraj, ludzi, cnotę".

Emilja Sczaniecka wróciła do swej majętności Pakosławia. — Tu czekały ją kary pieniężne i więzienie, rząd pruski karał bowiem srogo wszystkich swych poddanych, którzy brali udział w powstaniu. Prośby przyjaciół, pamięć na jej usługi dla dobra cierpiącej ludzkości, uzyskały jej amnestje u Wilhelma III. A i tak czekała pannę Emilję w Pakosławiu ciężka praca.

Pieniądze, jakie miała oddała podczas powstania na potrzeby wojenne i na budowanie lazaretów, teraz więc rządnością i oszczędnością walczyć musiała, by utrzymać się przy owym kawałku ziemi i nietylko się utrzymała, ale jeszcze

hojną ręką wspierać mogła każdy czyn patrjotyczny, szczególniej popierała założone przez Karola Marcinkowskiego „Towarzystwo Pomocy Naukowej“ i sama podobne stowarzyszenie założyła dla dziewcząt, które wielu biednym dziewczynkom, dało tak dobre wykszałcenie, że się same ze swego zarobku utrzymać mogły.

Powstanie roku 1863 znów ją powołało do służby w lazaretach.

„Po latach trzydziestu u szpitalnych łoży
Jawi się znowu ten sam anioł boży.
Anioł — niewiasta i ręką życzliwą,
Przewija rany zbroczonego boku,
Z tem samem czuciem i miłością tkliwą,
I z tą nadzieją nieskończoną w oku“.

Nadzieja, że ojczyzna zmartwychwstanie nie opuściła jej nigdy i w duchu tym wychowywała swych siostrzeńców, którym zastępowała matkę i sieroty po powstańcach, które przytuliła w domu swoim, w którym wrota dla każdego dobrego Polaka gościnnie otwarte były. Każdemu udzielała porady i pomocy, we wszystkich wzbudzając uwielbienie i miłość. Piękne życie zakończyła w późnym wieku, zarysowując się w pamięci potomnych, jako ideał szlachetny w wielkich poświęceniach i w ciężkiej codziennej pracy dla utrzymania zagonu ojczystego, niewiasty — Polki.

Zofja-Beata Krzyżanowska.

MŁODOŚĆ ŚPIEWA.

I.

Ścieżki mojego życia są czasem wąskie i kamieniste. Przebiegam je szybko i znaczę kroplami krwi moich zranionych stóp, — lecz cóż mnie to obchodzi? Czyż królowe nie stąpają li tylko po puszystych kobiercach i miękkich dywanach? A przecież młodość moja, potężna i dumna, jest więcej, niż królowa...

Zwątpienie przesłania moje marzenia, — lecz cóż stąd? Przez najczarniejsze chmury przebija się promień słoneczny, a marzenia moje nie są-ż jaśniejsze od słońca?...

Życie rozwiewa moje sny, — lecz cóż to znaczy? Codzień ucieka srebro księżyca przed światłem poranka i codzień słońce wypija zwiewne mgły. Czy przez to nie wschodzi nowy księżyc i nie snują się mgły nad łąkami?

A sny moje są srebrniejsze od blasku księżyca i misterniejsze od cichych mgieł nad łąkami...

II.

O godzinie, w której seledyn księżyca walczy z różem wstającego poranku, — o jasnej godzinie świtu, budzą się mgły nad łąkami. Delikatne, wytworne, w białe sukienki ubrane, snują się pochylone ku sobie, tajemnice nocy letnich zwierzając jedna drugiej. A potem za ręce się biorą i tańczą, tańczą, tańczą...

Młode, radosne wstaje słońce i, — spłoszone blaskiem potęgi zwycięskiego Boga, — giną mgły srebrzyste. Zostają po nich jeno krople rosy, w których słońce zapala tęczę...

— — — — — — — — —

O godzinie, w której biel dzieciństwa walczy z purpurą wschodzącej młodości, — o godzinie, kiedy się serce budzi, wstają w niem sny i marzenia, od mgieł nad łąkami piękniejsze. Snują się ciche, białe, radosne...

Mocna zwycięska budzi się radość i, — spłoszone jej blaskiem — giną sny

jasne. Zostają po nich jeno łzy, a słońce — młodość lśni w nich tęczą Czynu.

III.

Ciemny błękit nieba pali się i drga światłem jasnych gwiazd. Siostrzyczka moja wyciąga ku nim ręce. Kochana, nie zejdzie gwiazda z nieba, jeno ty ku gwiazdom pójść musisz. Patrz, oderwała się jedna i leci ku nam przez niezmierzony błękit. Nie doleciała, zgasła, ale tak długo błyszczy jej droga, — jasna, świetlista smuga na ciemnem niebie. — Pójdziesz ku gwiazdom, Maleńka, przez niezmierzony błękit twego życia, a choćbyś nawet nie doszła, — zostanie ślad drogi twojej; — przez ciemność życia lśnić musi świetlistą smugą Miłości.

M. Traczewska, sł. fil.

HISTORJA SZKOLNEGO „BRYKA“.

Hanka Miedziecka postanowiła zdobyć pierwsze w klasie świadectwo. — Było to tak. W dniu oznaczonym na zjazd pensjonarek matka odwiozła ją do stacji kolejowej, a w drodze miała z nią poważną rozmowę, której rezultatem była obietnica Hanki zupełnej poprawy w naukach. Hanka pamięta każdy szczegół tej rozmowy.

Bryczka żółta turkotała i trzęsła niemiłosiernie po szosie rozmiękłej, pełnej lepkiego, szarego błota, pryskającego z pod kół aż na derkę, którą obie z matką były owinięte; nogi i brzuchy końskie, orczyki, nawet dyszel oblepione były szaremi grudkami, a woźnica odwracał się co chwila na koźle, mówiąc przez ramię: „na taką drogę ino koniska nogi marnują“.

Wokół ciągnęły się pola słoneczne dalekie, zaciągnięte bledziuchną jesienną mgłą — przy samej drodze wyrastały jakby z pod ziemi i uciekały wdal słupy telegraficzne, wapnem bielone kamienie znaczące odległości, i rosnące na zboczach rowów, głogi czerwone zasnute mokrą pajęczyną.

Przy każdym krzaku uciekającym wdal, przy każdym mijanym domku, Hanka mówiła sobie, że nie zobaczy tego aż za rok, za cały długi nadchodzący rok.

Matka miała oczy pełne łez. Obiecywała, pisywać często a potem prosiła ją, żeby uważała na siebie, nie zaziębiała się, nie wychodziła do ogrodu bez sweterka. Potem zaczęła jej mówić o ojcu, który umarł, gdy Hanka była jeszcze małem dzieckiem, a którego dziewczynka nie pamiętała zupełnie, mimo portretów i opowiadań matki.

— Żebyś wiedziała — mówiła matka, jak on cię kochał, jak lubił rozmawiać o tobie, jak marzył zawsze, by cię umieścić na jednej z pierwszorzędnych pensyj i jak bardzo pragnął, byś była celującą uczennicą. Raz wziął cię na kolana i pieścił długo, potem rzekł — Z niej będę miał zawsze pociechę — Hanuś — prawda?

Matka urwała, zatapiając się we wspomnieniu tej drogiej bezpowrotnej przeszłości. Hanka widzi dotąd, jak na jawie, jej twarz bladą i oczy smutne.

— Będę pierwszą uczennicą w klasie — mówiła z zapałem, — zobaczy mamusia, będę, będę.

Hanka była dziewczynką zdolną. ale roztrzepaną i żywą, jak iskra. W klasie lubiono ją za jej promienne usposobienie i za złote serce. Bury i napomnienia profesorów spływały po niej jak po szkle, a ze złych not nie robiła sobie literalnie nic. Matkę jednak kochała na-

miętnie. Jedno słowo z jej ust, jedno smutne spojrzenie jej oczu wystarczało, by skruszyć to małe serduszko, którego wszystkie kazania nauczycielek nie zdołały nawrócić.

Teraz prośba matki uczyniła na niej wielkie wrażenie i Hanka postanowiła robić co może, byleby sprawić matce radość, o którą prosiła.

„Mamusia nie ma nawet pojęcia, pisała do matki, jak się okropnie staram. Czasami nogi skaczą mi na lekcji. Wtedy bardzo uważam, żeby o nich zapomnieć. Za to na pauzie myślę czasem, że mnie rozniesie. Głowa mnie już boli od tej grzeczności. Ale muszę mieć dobre świadectwo. Mam na stoliku fotografję mamusi, tę z tatusiem, wie Mama? Zawsze na nią patrzę. Proszę pisać do mnie. Hanka".

W klasie z początku patrzano na postępy Hanki z pewnem niedowierzaniem. Gdy dziewczynka, świecąca na świadectwie samemi dwójkami, umie lekcje przez 2 tygodnie z rzędu, musi się to wydawać podejrzanem. Profesorowie i nauczycielki robili miny uprzejmie zdziwione i każdy po kolei wyrażał jej w podobny sposób, z lekkiemi tylko zmianami, serdeczną nadzieję, że tak pięknie zaczęty rok równie się chlubnie zakończy.

Jedna tylko Krysia Solówna, uchodząca dotąd za kopję Hanki, oświadczyła zupełnie szczerze, że Hanka albo ześwięciała po przeczytaniu jakiegoś żywotu z klasowej bibljoteki, albo też choruje na ból głowy. W obu wypadkach po tygodniu to minie. Hanka jednak żywotów nie czytała, a o bólu głowy nie było mowy.

Po miesiącu już cała klasa ogłosiła ją za „wzór". Dziewczynki na pauzach oblegały ją, by dowiedzieć się od niej wyniku matematycznego zadania, a przed lekcjami znajdowała pod ławką stosy liścików tej mniej więcej treści:

— Haneczko! Jaka jest myśl przewodnia w „Hermann i Dorothea". Odpisz prędko, bo zryję.

— Hanuś — czy nie wiesz przypadkiem jak się pisze desselben (chodzi mi o „s" środkowe).

— Jaka jest data bitwy pod Beresteczkiem? błagała Olga Gruszecka, nie mająca pojęcia o historji.

— Jak cię lekko trącę, podpowiadaj, szeptała jej nerwowo Teresa Bożencka z pierwszej ławki.

Za dwa tygodnie miała być pierwsza konferencja. Ale słabość ludzka silniejsza jest nieraz od najlepszej nawet woli. Całą odpowiedzialność za karność pensjonatu w miesiącu październiku musiały wziąć na siebie lampy elektryczne, które instalowano właśnie w salach i korytarzach szkolnych. Jest to rzeczą dowiedzioną, że gdy instalują lampę na korytarzu, gasząc i zapalając co chwila, by przekonać się czy prąd dochodzi, żadna rodowita pensjonarka nie wysiedzi w tej chwili przy swoim pulpicie. Napróżno dozorujące nauczycielki dzwoniły, prosiły i trzaskały w klapki dla utrzymania porządku; napróżno „mademoiselle" chodziła po korytarzu, nawołując „Rentrez en classe mes enfants". Pensjonarki dręczone tantalowem pragnieniem wymykały się co 5 minut, by napić się wody, by umyć ręce, lub uczesać się.

Lekcje szły niżej krytyki, ale zato każda z dziewczynek wiedziała na pamięć, jak izoluje się druty przy lampach, jak wkręca się je do kontaktu i jak się łączy przy samej żarówce. Jednem słowem, każda była głęboko przekonaną, że potrafiłaby sama bez elektrotechnika założyć u siebie w domu elektrykę.

Hanka trzymała się jak dotąd nieźle. Po części ratowało ją wspomnienie matki w dziwnem połączeniu z pamięcią na zbliżającą się konferencję, po części „łatała dziury" materjałem przywojonym sobie sumienną pracą od początku roku.

Ale potem nadszedł dzień, gdy zakładano lampę różową. To nie była Hanki wina — napewno, nawet gdyby mamusia tu była, zrozumiałaby, że dla łacińskiego nudnego ustępu nie można tracić takiego widoku, jakim jest zakładanie na sali rekreacyjnej różowej lampy.

Gdy nazajutrz profesor łaciny wszedł do klasy, Hance zrobiło się nieprzyjemnie. Prawdopodobnie miało się dziś odbyć pytanie na „klasówkę". Hanka pierwszy raz w tym roku była nieprzygotowana.

Profesor był „poczciwy" stary, z białą brodą i śmiejącemi się dobremi oczyma. Dziewczynki lubiły go, bo nie zapisywał do katalogu, nie skarżył do dyrekcji i nie psuł stopnia z zachowania na konferencjach. Żato od czasu do czasu umiał się zgniewać porządnie, co wystarczało, by utrzymać klasę w karności do następnego razu.

Miał swoje własne, utarte zwyczaje. Wchodząc, kładł laskę i kapelusz na katedrze, rozglądał się po klasie, wyciągał chustkę i mówił przecierając okulary... Do tablicy przyjdzie... p. Solówna — potem obracał się cały ku nieszczęśliwej ofierze, siadając boklem do klasy i powtarzając: „Aha — ja wcale nie żądam, żeby się pani uczyła. Chodzi mi tylko o to, żeby się pani nauczyła".

Dziewczynki naśladowały go doskonale. Hanka i Krysia umiały tak bajecznie podchwycić ton jego głosu, ruchy, nawet wyraz jego twarzy, że klasa brała się za boki od śmiechu.

Ale dzisiaj — stary profesor nie położył kapelusza na katedrze i nawet nie zdjął płaszcza. Stanął tylko na stopniach i rozejrzawszy się po klasie rzekł: „z powodu nadzwyczajnej konferencji nie będę mógł być dziś na lekcji. Ale ponieważ znaczna część klasy nie była jeszcze pytana, więc klasyfikować będę na podstawie zadania. Proszę otworzyć książki str. 142 § 6. od słowa „etenim" do „hominibus" 4 linje od dołu. Proszę mi to przetłomaczyć. Jutro zbiorę zeszyty. Liczę, że panienki nie będą pisały zadania wspólnie, ale każda dla siebie.

Następnie zszedł ze stopni, chwilę szukał jeszcze czegoś w katalogu i wyszedł.

— Hurra! krzyknęły dziewczynki, gdy były pewne, że nie usłyszy. — Całe szczęście, słówka nie umiem, rzekła Hanka.

— Raz nie mam pecha, zawołała Dzidka Motkowska, wskakując na ławkę.

Dzidka była mała, drobna, z krótko obciętemi włosami, które spadały jej na oczy za lada poruszeniem — wyglądała na lat 12, choć kończyła 16. Była pajacem klasy.

— Żeby się nam to zadanie udało, westchnęła blada, chorowita biedotka, sławna w klasie kompletną ignoracją na punkcie łaciny. Wiecie co — zawołała nagle Berta Dorówna, przychodnia; — można w antykwarniach dostać „bryki" do całej tej książki łacińskiej. Powiedziawszy to, przestraszyła się jednak własnych słów i poczęła patrzyć po klasie z niepokojem. Bryki są tak surowo zabronione w szkołach, że samo to słowo zdaje się być wykreślone z pensjonarskiego języka. Za bryki „wylatuje się" ze szkoły tak, jak za papierosy i za kina. Podejrzenie o bryk jest największą impertynencją, jaką można uczennicy wyrządzić. Ale z drugiej strony właśnie dlatego, że są zakazane, nęcą, tak jak kino i papierosy. Dziewczynka, mająca u siebie choć stronę bryka, zyskuje u innych rodzaj imponującej pensjonarskiej sławy: „ona ma bryka! nie boi się". Hanka zawahała się, ale przed oczyma stanął jej cały ten kwartał gorących wysiłków, ujrzała w myśli matkę, czytającą jej stopnie, całe świadectwo — konferencję — i zgodziła się.

Reszta klasy też nie stawiała zbytecznego oporu i w antykwarniach zakupiła Berta Dorówna jeszcze tego wieczora sporą ilość brudnych łacińskich bryków.

Przy oddawaniu zeszytów stała się rzecz straszna. Oto Hanka zapomniała wyjąć swój bryk z pomiędzy kartek zadania i oddała zeszyt wraz z nim, zbierającej dziewczynce. Ta podała całą paczkę profesorowi, który bezwłocznie wsunął ją do swojej torby. Nie mogło być nawet mowy o wydostaniu zeszytu.

Pensjonarki tego wieczora zebrały się w gromadkę za szafą z nutami, gdzie pewne były, że je mademoiselle nie wyśledzi, i naradzały się gorączkowo „co to będzie?“ — Ładnieś się spisała, niema co mówić — jęczała Krysia Solówna, jakeś ty to mogła zrobić. — Czy ja wiem? spieszyłam się. — Czy cały bryk zapomniałaś? — Nie, tylko jedną kartkę, owinięta była w kawałek papieru z napisem: „Proszę o dyskrecję“.

— Jeszcze gorzej, rzekła Olga Gruszecka, będzie wyglądało, żeśmy naumyślnie oszukiwały.

Cały korytarz pogrążony był w zupełnym cieniu, tylko gdzieś w głębi, nawpół rozchylone drzwi jednej z klas przepuszczały smugę światła. Z góry, z dołu, z boków dochodziły urywane dźwięki gam, ćwiczeń, sonatynek, zlewające się razem w przedziwnie fałszywą melodję. — Ktoś idzie — rzekła nagle Hanka.

Pensjonarki przytuliły się do ściany, a Terenia wychyliła ostrożnie głowę z za szafy, by śledzić, kto idzie. — Nie, to tylko ta mała Lena z pierwszej klasy; idzie z nutami — pewnie na ćwiczenia.

Poczekały, aż kroki ucichły, poczem Ola zaproponowała: Idźmy do kaplicy pomodlić się, żeby bryka nie zobaczył.

Ale Hanka nie miała ochoty. Była zła na siebie, na koleżanki, na bryka i na profesora. Została więc sama, podczas gdy reszta pensjonarek sunęła jak cienie w kierunku kaplicy.

Zegar klasowy wskazywał 5 przed 9. Dziewczynki siedziały już w ławkach, wyczekując profesora. Wszystkie oczy biegały ciągle w nerwowem oczekiwaniu od drzwi ku zegarowi i od zegara do drzwi. Hanka zaczaiła się przy drzwiach i obserwowała korytarz, sygnałując klasie umówione znaki. Wyciągnięcie ręki oznaczało: wszystko w porządku, niema nikogo. Biała chustka miała być alarmem: „idzie już“.

Zegar wybił 9, a dotąd Hanka kiwała spokojnie ręką na znak, że nie było nikogo. Pensjonarki oddychały: może nie przyjdzie.

Wtem Hanka cofnęła się prędko od drzwi i biała, trochę już zmięta chustka, powiała jak sztandar na trwogę.

Idzie, idzie przebiegł szept między ławkami. Jeszcze chwila oczekiwania i profesor wszedł do klasy.

Ale wszedł spokojnie, tak właśnie, jak wchodził na każdą lekcję łaciny. Laskę i kapelusz położył przed sobą na katedrze, zapisał nieobecne, potem sięgnął do torby i wyjął paczkę zeszytów.

— Zadanie wypadło bardzo dobrze, mówił, rozglądając się po klasie. Rozda zeszyty panna Gruszecka. Nawet się zdziwiłem jak już się panie orjentują w tłomaczeniu. Czy panienki nie pomagały sobie nawzajem?

— Nie — każda pisała osobno, odpowiedziały z czystem sercem pensjonarki.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, powtarzał z zadowoleniem. — Aha — miałem coś pannie Miedzieckiej do powiedzenia. To pani zeszyt, nieprawdaż? Znalazłem w pani zeszycie jakąś kartkę, oddaję ją pani. Proszę nie zostawiać mi takich kartek w zadaniu, bo stary profesor może jeszcze posądzić o bryka. Wie pani, że mi to nawet przyszło na myśl. Ale niech się pani uspokoi, nie zaglądałem do kartki. Zanadto wierzę, że panie nie byłyby w stanie oszukać

w ten sposób kogoś, który wam okazuje zaufanie.

Oddał jej kartkę, sam przeszedł się po klasie, potem siadł obrócony bokiem do klasy, mówiąc swym zwykłym, spokojnym głosem: Do tablicy przyjdzie... panna Gruszecka.

A Hance zrobiło się „głupio", bo nie spodziewała się tego. Byłaby chciała wstać i krzyczeć, że to nieprawda, że zadanie nie jest jej roboty, że kartka była brykiem, ale wzgląd na resztę klasy i niezwyczajność całego zajścia odebrały jej mowę. Siedziała więc, mnąc swój bryk, blednąc i czerwieniejąc naprzemian.

— Co to będzie telegrafowała jej pod ławką Wandeczka Ralska. Jesteśmy w dzikiej sytuacji.

— Całe jednak szczęście, że kartki nie przeczytał, szeptała gorączkowo Ela Znorkówna.

Hanka otworzyła pulpit by wrzucić swój zeszyt. W głowie wirowało jej poprostu. Czuła, że pulsa biją jej w skroniach i coraz nowe fale krwi napływają do twarzy. Nagle oczy jej padły na dwie małe fotografijki w czerwonych ramkach, stojące zawsze w jej pulpicie: ojca i matki.

Ojciec uśmiechał się do niej wesoło, radośnie w swoim ułańskim mundurze z krzyżem na piersiach — matka patrzała gdzieś wdal zamyślonemi oczyma. A Hanka zamknęła prędko pulpit, bo zdało jej się nagle, że jakoby cień pada na drogą zmarłą głowę, na cichy spokój, z którego ojciec uśmiechał się do niej z zaświatów, poprzez odległość 12 lat — i że zamyślone oczy matki, patrzą w nią ze zdumieniem, niespokojne, bolesne, pełne niemego wyrzutu.

— Zupełnie źle, mówił w tej chwili profesor do Olgi — co znaczy: Drusum abire vidit. Pani się zupełnie w składni nie orjentuje. Tak nie można. Myśleć trochę — myśleć. Pomoże jej... panna Miedziecka.

Hanka wstała: Drusum abire, powtarzała bezmyślnie.

Czy przyznać się, czy nie — chwila była stosowna. Ale coś ściskało ją za gardło, coś błagało w niej o litość. Były w niej jakoby dwie osoby, z których jedna nieubłaganie skazywała drugą. Więc czuła opór i ból tamtej — i to zmaganie się obydwóch i wysiłek i trud walki.

— „Drusum abire vidit" panno Miedziecka, takie łatwe zdanie.

A jej stają znowu przed oczyma tamte twarze, te dwie kochane twarze.

— Panie profesorze — rzekła bardzo wolno — to był bryk.

W klasie zrobiła się cisza, jak makiem zasiał. Dziewczynki zaczęły patrzeć to na Hankę, to na profesora w nerwowem oczekiwaniu. Hanka miała ciemne wypieki na twarzy i zaciśnięte usta, profesor na tle tablicy, z tą swoją długą, białą brodą i spokojną twarzą wyglądał na portret stary gdzieś widziany, dobrze znajomy.

A wtedy klasę ogarnął zapał. Stało się to tak nagle, że nikt się nie mógł zmówić, ani naradzić, ani porozumieć. Wszyscy wiedzieli, jak mają postąpić. Dziewczynki prawie jednocześnie powstawały z miejsc i wyciągając swoje bryki, mówiły jedna przez drugą: „Panie profesorze, my też miałyśmy bryki, wszystkie miały bryki. Myśmy się nie zastanowiły — to się już nie powtórzy. Już nigdy tego nie zrobimy.

Coś jakby łuska spadła im z oczu. W jednej chwili ujrzały to, czego nie widziały przedtem: i kłamstwo czynu i nierzetelność swoją wobec zaufania im okazanego i tchórzostwo w obliczu prawdy. Bo im, gdy oszukiwały, przez głowy nawet nie przeszło, by mogły popełniać aż tyle złego naraz. Im na słowo „kłamstwo" policzki zachodzą gorącym rumieńcem, a przepisując zadanie, chciały poprostu dojść do celu najprostszą, najłatwiejszą drogą.

Więc teraz, gdy się spostrzegły, ogarnęła je poprostu potrzeba powiedzenia wszystkiego, zrzucenia z duszy tego przygniatającego fałszu, by być znowu w prawdzie wobec siebie — wobec klasy — wobec siwowłosego profesora, który im wierzył.

A on stał na katedrze i patrzył. Potem rzekł spokojnie — Kiedy tak, muszę pannom noty pozmieniać.

Ale zapisując w notesie, uśmiechał się.

Tego dnia Hanka pisała do matki:

— „Mamusieczko — ze świadectwa dobrego — nic!

Było to z powodu „bryków“ — wie Mama? — Potem Mamusi wszystko opowiem. Musiałam się przyznać, bo mi się zdawało, że Tatuś wolałby, żebym miała złe świadectwo, niż, żeby ono miało być rezultatem nierzetelnego postępku. — Na przyszłą konferencję będzie inaczej — obiecuję“.

W dwa dni później zaszło jednak coś niespodziewanego. Profesor wszedłszy do klasy na lekcję, położył na katedrze laskę i kapelusz, ale zamiast powiedzieć przeciągłym głosem: Przyjdzie do tablicy panna X. — rzekł krótko:

— Dzisiaj będzie zadanie szkolne.

Na najbliższej konferencji Hanka otrzymała najlepsze z całej klasy świadectwo.

J. Ledóchowska.

DO DZIEWCZĘCIA.

Tyś cud, tyś wiosna,
Tyś pieśń radosna,
Co się wylewa
Z wód jasnej toni.
Wrzystko ci śpiewa,
Przed tobą stroni
I ból i grzech,
A nęci śmiech...

Ach dzwoń, ach dzwoń,
Kryształnym śmiechem
Perełki syp z duszyczki tchów
I nieś je echem
I goń je, goń,
I chwytaj znów,
I dzwoń i dzwoń...

Tyś cud, tyś życie,
Ty już w błękicie
Anielskich śnień
Serc słuchasz drżeń...
I już cię czeka,
Już na cię czyha.
Syk i zgrzyt, dola człowieka...
Z kwiatu kielicha
Już się wychyla
Zawrotna chwila...

Ach nie spiesz dziewczę, rajski ten ptak
Nie zawsze w szczęścia szybuje szlak,
Ach nie spiesz, wiosną — nie latem ty...
Wiosny ocknieniem
Anielskiem śnieniem
Śmiechem zażegnaj gorące sny —
Kryształnym śmiechem...
Ach dzwoń, ach dzwoń
Perełki syp z duszyczki tchów
I nieś je echem,
I goń je goń,
I chwytaj znów,
I dzwoń i dzwoń...

J. Putiatycka.

KRONIKA MUZYCZNA KRAKOWA 1925 R. (STYCZEŃ i LUTY).

Dwa ostatnie miesiące nie zaznaczyły się wybitniejszemi zdarzeniami w muzycznem życiu Krakowa. Od okresu Bożego Narodzenia umilkły symfoniczne koncerty, a produkcje solistyczne skupiały się około występów wirtuozów skrzypcowych. A więc obok wielkiego Eugenjusza Ysaye, który rozbudził poprzednią generację swą stylową interpretacją i dał impuls do powstania całego szeregu znakomitych zespołów kameralnych, słyszeliśmy i Karola Flescha, kierownika berlińskiej klasy mistrzowskiej, łączącego klasyczny umiar z ciepłem uczucia i osobistego przeżycia, a wreszcie Jana Kubelika, którego sława napełniała jeszcze przed 10 laty świat cały, a dzisiaj niestety świeci już odblaskiem zmierzchu. Nie mniej licznie, a charakterystycznie przewinęła się falanga młodych artystów wiolinowych przez estradę Starego Teatru. Erica Morini, która zdobywała laury, jako cudowne dziecko, dziś dojrzała na uduchowioną, a bujnym temperamentem obdarzoną skrzypaczkę, której odtworzenie koncertu Czajkowskiego na zawsze pozostanie w pamięci słuchaczy, zwłaszcza tych, którzy go mieli sposobność słyszeć już poprzednio w anemicznem wykonaniu Kubelika. Józef Szigeti, Węgier z pochodzenia, przypomniał się krakowskiej publiczności, nawiązując nić tejże samej sympatji, którą zadzierzgnął swym poważnym koncertem przed dwoma laty. Jednakowoż wszystkich przyćmił niezrównany technik na miarę Paganiniego, Vaša Prihoda, uczeń prof. Marzaka z Pragi, którego olśniewające mistrzowstwo technicznej strony i żywiołowa bezpośredniość w grze stawiają w rzędzie fenomenów odtwórczych. W jego wykonaniu koncert Mozarta, Paganiniego, Warjacje Kreislera-Corellego były arcydziełem stylowego piękna i muzycznego polotu. Tak wygląda dominium odtwórczości koncertowej w zakresie skrzypcowym. Natomiast fortepianiści skąpo darzą nas produkcjami w roku bieżącym. Z krakowskich artystów Wiktor Łabuński powrócił z podróży po Anglji, prof. Zygmunt Przeorski przejął wzmożone obowiązki pedagogiczne po śmierci ś. p. Klary Czop-Umlaufowej w Instytucie muzycznym, co utrudnia mu możność koncertowania z wielką szkodą dla sympatyzującej z nim publiczności. Z zagranicznych pianistów, jeden tylko Ignacy Friedman, krakowianin z pochodzenia, poświęcił swój doroczny recital twórczości Chopinowskiej, dorzucając w ten sposób trzeci wieczór do dwóch poprzednich ku uczczeniu 75-lecia śmierci naszego największego geniusza tonów. Jeden zainicjowało bowiem grono muzyków krakowskich, dając w cyklu pieśni Chopina, odśpiewanych zbiorowemi siłami, hołd pierwszemu pieśniarzowi polskiemu, który stworzył podwalinę muzycznemu metrum słowa polskiego w swych 17 sielskich utworach; przez skojarzenie zaś z nimi i wszystkich następnych pieśni (Zeleńskiego, Niewiadomskiego, Galla i t. d., aż do Szymanowskiego) wyraził koncert zrozumienie dla wpływu Chopina na potomne duchem pokolenia. Drugą Akademję urządził związek najmłodszych poetów krakowskich „Helion", który z okazji jubileuszu rozpisał konkurs na wiersz ku pamięci Chopina. Nagrodzoną została Ballada o Chopinie Jerzego Brauna i ta też w deklamacji p. Buczyńskiej posłużyła za prolog do Akademji, która nosiła charakter literacko-artystyczny, jako wyraz nieśmiertelności ducha Chopinowskiego i wpływu na pokrewną mu dziedzinę sztuki, poezję.

Zaproszony z Poznania pianista, Mieczysław Ziółkowski odegraniem Sonaty b-mol, Scherza h-mol i Poloneza As-dur wypełnił wraz z p. Niką Jakubowską, śpiewaczką, muzyczną część wieczoru, a wygłoszone przezemnie słowo wstępne miało na celu scharakteryzować pierwiastki malarsko-poetyckie dorobku Chopinowskiego, których rezultatem impresjonizm muzyczny, trwający aż do dnia dzisiejszego, pokrewieństwo zasad estetycznych z ojcami impresjonizmu malarskiego: Delacroix, Delaroche i wreszcie najidealniejsza synteza haseł narodowościowych, któremi żyła emigracja paryska i Polska po r. 1831, a których wyrażeniu w poezji trzech wieszczów przeciwstawiła się poezja tonów na piedestale udostępnienia ogólnoludzkiego.

Muzykę kameralną uprawia stale Instytut muzyczny, idąc śladami tradycji swej założycielki. W roku bieżącym odbyły się 3 wieczory, wykonane siłami prof. pedagogów Instytutu: wieczór sonaty skrzypcowej, wieczór poświęcony twórczości Ryszarda Straussa i trzeci, zawierający sonaty skrzypcowe J. Seb. Bacha. Ponadto staraniem Związku muzyczno-pedagogicznego w sali tegoż Instytutu odbyły się 4 wieczory koncertowe, w których wzięli udział wybitni artyści krakowscy, jak: Ludwika Jaworzyńska, Pawłowski, bar. Loeblowa ze świata wokalnego, a Hikiel, Peters, Szwarcenberg-Czerny, jako skrzypkowie, Zofja Łakocińska, pianistka z zakresu instrumentalnego.

Starodawne Pastorałki, którym rokrocznie dawały wyraz wspaniałe koncerty czy w Starym

Teatrze urządzone przez chór „Echo", czy też przez Tow. oratoryjne w Teatrze Słowackiego oddźwiękły nutą kolendową po kościołach krakowskich, a przy końcu okresu świętalnego wykonał je zbiorowo chór prof. Bursy na popularnym koncercie w Sokole.

Ogółem stwierdzić należy, iż okres zabaw karnawałowych przytłumił mocno tętno ruchu artystycznego w Krakowie, który, jak głoszą słuchy, dopiero w poście ma odżyć na nowo. Z przewidywanych zaś imprez na pierwszym planie należy postawić wspaniałe zamierzenie Tow. Oratoryjnego, które za staraniem swej kierowniczki, p. Jadwigi Zbrożkówny, przygotowuje potężne, nowoczesne oratorjum, które obiegło już prawie obie półkule, Quo vadis Feliksa Nowowiejskiego.

Dr. Melanja Grafczyńska.

ZE ŚWIATA.

Konkordat podpisany. Po długich rokowaniach Polska zawarła Konkordat ze Stolicą Apostolską. Podpisanie odbyło się w sposób następujący: O godzinie 6·30 wieczorem w sali Congregazione przy wielkim stole, pokrytym czerwonem suknem zasiedli kardynał Gaspari, ambasador Skrzyński, poseł Stanisław Grabski i inni przedstawiciele tak Stolicy Apostolskiej jak i Polski. Tekst Konkordatu odczytał Kardynał Gaspari, potem gdy podpisali Gaspari, Skrzyński i Grabski, po nałożeniu pieczęci na akcie Konkordatu wszyscy zebrani udali się do Ojca Świętego, który udzielił błogosławieństwa im i Polsce.

Konkordat, jak wiadomo, reguluje stosunek kościoła do państwa, załatwia tak bardzo ważne sprawy, jak wolność nauczania, obsadzania stolic biskupich, zawieranie małżeństw, sprawę posiadania ziemi kościelnej i t. d. W Konkordacie świeżo podpisanym nie wszystkie jednak sprawy zostały ostatecznie ułożone i n. p. sprawy małżeńskie objęte będą późniejszemi dodatkowemi umowami.

Powrócenie świąt. Sejm uchwalił wstrzymanie się od pracy w święta M. B. Gromnicznej, św. Szczepana, Pon., Wielkanocny i święto Zielonych Swiątek. Święta te, jak wiadomo, przez Prezydenta Rzeczypospolitej były początkowo zniesione. Jakkolwiek więc nie będzie obowiązku pod grzechem ciężkim być w te dni obecnym na mszy św., gdyż taką reformę wprowadziło prawo kanoniczne, to jednak święta te w kościele, szkołach i urzędach będą utrzymane.

Groźba wojny grecko-tureckiej. Na Bałkanie grozi nowa zawierucha wojenna. Przyczyną jest fakt wydalenia przez Turcję patrjarchy ekumenicznego i odmowa przyznania autonomji wyspom Imbros i Tenedos, należącym dawniej do Grecji, a przyznanym Turcji traktatem pokojowym w Lozannie.

Śmierć lekarki-podróżniczki. Pisma angielskie donoszą o śmierci dr. Lilias Hamilton, która skończywszy medycynę, wyjechała do Indji, gdzie objęła stanowisko lekarza przy szpitalu w Kalkucie. Następnie przez czas jakiś była nadworną lekarką u władczyni Afganistanu. Powróciwszy do Anglji zajmowała się ogrodownictwem, a w czasie wojny powróciła do zawodu lekarskiego i odbyła dłuższą podróż do Czarnogóry, jako szef komisji sanitarnej.

Śmierć ostatniej królowej neapolitańskiej. W Bawarji zmarła 84-letnia staruszka, siostra cesarzowej Elżbiety, żona Franciszka II., który w 1861 roku stracił tron i uciekł ze swej pięknej stolicy, do której wszedł Garibaldi. Królowa Marja Zofja była to kobieta heroicznego serca i charakteru, lecz pomimo całego wysiłku i całego poświęcenia nie mogła uratować, skazanej na zagładę, dynastji neapolitańskiej.

Udział kobiet w pracy państwowej i społecznej w Anglji. Pani Małgorzata Bondfield została sekretarzem ministra pracy w gabinecie Mac Donalda. Księżna Atboll sekretarzem w ministerstwie oświaty w gabinecie Baldwina. Wybory mnuicypalne w Anglji przyniosły kobietom 8 stanowisk prezydentów miast.

R. Łubieńska.

CO CZYTAĆ?

W czasie W. Postu, a szczególniej w czasie rekolekcyj wielkopostnych radzimy przeczytać i przemyśleć takie dzieła jak:

W. Kalinki, „Rozmyślania o Męce Pańskiej“.

H. Haducha T. J., „Zasada życia“. (Kraków 1925). Książka, dająca dużo materjału do refleksji.

L. Perroy, „La montée du Calvaire“, w tłomaczeniu polskiem **Mieroszewskiej** p. t. „Kalwarja“ (Lwów 1914), gdzie autor przy rozważaniu męki naszego Zbawcy główną uwagę zwraca na moralne Jego cierpienia.

J. Schryvers'a, „Dobra Wola“ (La bonne volentée), „Oddanie się Bogu“ (Le don de soi) i „Boski Przyjaciel“ (Le divin Ami), które, podnosząc duszę wzwyż, dodają otuchy wśród trudności, jakie każdy na drodze życia spotyka. Dla dusz, pragnących łączenia się z Bogiem, pociechą wielką jest myśl, że nie daleka od nas niezależna przyszłość, nie przeszłość, może wyrzutami sumienia zaćmiona, lecz jedynie c h w i l a o b e c n a, dzisiejszy nasz obowiązek względem Boga i bliźnich rzetelnie spełniony, da prawdziwy pokój i szczęście.

* * *

Marjusz Zaruski, „Na bezdrożach Tatrzańskich“. (Wyd. M. Arcta w Warszawie 1923 r.) Świat bajki otwiera się przed naszemi oczyma: „Zamczysko skalne, ogromne strzeliste. Pustynia skalna — dzika, groźna i niebezpieczna... Nad przepaściami zwisają z grani ciężkie girlandy... mosty śnieżne łączą iglice na grani... lśniące pola spadają potężnemi ścianami na brzegi stawów... a wokół stawów przykryte grubą powłoką ostatnich śniegów wydymają się garby ogromne, jakieś cielska potworne, pogrzebane tu dawno“. Pełno tam dziwów w tej bajce — Tatrach Zaruskiego: groty kryjące kości śmiałków, przepaście, poznaczone śladami krwawych ofiar i walka twarda, zacięta, nieubłagana. Ludzie wiszący nad przepaściami; szukający na gładkich twardych, lśniących ścianach skąpych „chwytów“.

Tylko, że to nie bajka a prawda najoczywistsza. Wszystko tam osobiście przeżyte, ujęte w zwarte turystyczne zwroty, choć obcobrzmiące dla laika, dziwnie jednak obrazowe.

Ale jest w tej książce coś więcej jeszcze.

Zaruski to nie sportsmen - turysta, szukający w Tatrach niezwykłych wrażeń tylko. „Albowiem treścią sportu każdego jest wyścig, zdobycie rekordu, zwyciężenie innego człowieka. Tu zaś idzie o zdobycie turni o zwyciężenie siebie samego“

Dziwnej ulega człowiek iluzji, czytając tę książkę.

Jakoby nie z gładkiemi, przepaścią ziejącemi urwiskami skalnemi zmagał się autor, a zarazem bohater tej jedynej w swym rodzaju książki. To nie turysta pnie się po śliskich niebezpiecznych górskich bezdrożach, wkrada się w tajemne, groźne, krasowe groty, zdobywa niedościgłe szczyty, wsłuchuje się w gigantyczne walki lawin; to poprostu człowiek w głębi duszy własnej walczy, zmaga się, wychodzi cało z nieprawdopodobnych niebezpieczeństw, odpoczywa chwilę na „perci dobrej, perci poczciwej“, aby znów iść na nowe trudy, gnany wiekuistą, nieugaszoną tęsknotą wielkości, mocy, piękna i prawdy.

Czyta się tę książkę, jakby się brało w płuca szeroki, świeży, zdrowy wiew górskiego powietrza, jakby się hartowało nerwy i wolę po tych przepastnych Tatrzańskich bezdrożach na walkę przeciw temu co małe, nędzne, podłe we własnej duszy.

Zamyka się ją z tęsknotą — ku szczytom.

Michał Siedlecki, „Skarby wód“. (Nakł. Gebethnera i Wolfa). „Obudzić zamiłowanie do badania morza... zwrócić uwagę na to, do jakich cudnych krain dostać się możemy szeroką drogą oceaniczną — to główny cel tej książeczki! Cel, dodajmy od siebie, osiągnięty w zupełności. Od Oceanu Indyjskiego poprzez morze Śródziemne, kanał La Manche, aż do naszego Bałtyku wiodą nas barwne obrazy. Połów pereł — cały w gorącem słońcu skąpany, dyszący bogactwem indyjskich wybrzeży, przebłyskujący przedziwną tajemną głębią indyjskiego ducha i odwiecznych zwyczai. — Przepyszne jakby tęczowe ogrody z bajki, podmorskie obrazy z wybrzeży raf koralowych. Połów korali na morzu Śródziemnym, delfinów w zatoce Neapolitańskiej, śledzi na morzu Północnem i cały szereg innych obrazów składa się na treść tej pod każdym względem polecenia godnej książki, tem cenniejszej, że ilustrowanej obficie oryginalnemi rysunkami autora *M. S.*

Zofja Urbanowska, „Cudzoziemiec“. Śliczna opowieść o polskiej „panience“ z przed lat pięćdziesięciu — opowieść pełna wdzięku, naiwności i żartobliwej powagi. Bo taką też jest „panienka“. Naiwna i świeża, duszę ma wrażliwą na wszystko co wzniosłe i silne poczucie honoru narodowego i obowiązków względem kraju. I oto wszystkie te zalety są powodem wielce romantycznej przygody z pewnym „Niemcem“,

która spotkała panienkę w czasie jej letniego pobytu w Landeck, na Śląsku. Przygoda o mało nie zakończyła się tragicznie, bo panienka jest także bardzo gwałtowna i nie umie jeszcze poradzić sobie z nawałem różnych uczuć, rozbudzonych nagle w sercu. Autorka opowiada to wszystko żywo i zajmująco, wplatając do powieści ciekawe szczegóły z życia znakomitego aktora, polskiego pochodzenia, Dawisona.

J. B.

Marja Rodziewicz, „Lato leśnych ludzi“. Drugie to wydanie tej ślicznej książki, tchnącej świeżością i czarem przyrody, wśród której ludzie pracą umysłową wyczerpani — odzyskują siłę i szczerą radość.

Selma Lagerlöf, „Wspomnienia“. (Przeł. Janina Mortkowiczowa. Tow. Wyd. w Warszawie). Autorka opowiada z prostotą o kilku momentach swego życia, będących niejako etapami jej wewnętrznego rozwoju. Opowiadania te pełne są poezji i szlachetnego romantyzmu. Rzecby można, że własne życie przedstawia jej się jako legenda, bo legenda oczarowała ją już w dzieciństwie.

„Orli lot“, miesięcznik krajoznawczy młodzieży, wydawany przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, pod redakcją prof. L. Węgrzynowicza. Nr. 1 styczeń 1925 poza artykułem Al. Janowskiego „Krajoznawstwo w szkole“, wypełniony jest przeważnie materjałem krajoznawczym, zebranym przez uczniów szkoły w Piaskach Lubelskich pod Lublinem.

Z prac tych widać, jak przy małym wysiłku, można wiele pomóc nauce polskiej.

Nr. 2 i 3 poświęcony Sewerynowi Udzieli, twórcy Muzeum Etnograficznego, serdecznemu przyjacielowi młodzieży, z okazji odznaczenia go orderem „Polonia Restituta“, wypełniają artykuły poważne, a przystępnie i zajmująco pisane.

W języku francuskim.

Isabelle Kaiser, „Marcienne de Flüe“. Journal de la vie d'une femme. Ouvrage couronné, par l'Academie française. Paris, Perrin et C-ie.

Dziennik ten, to psychologiczna analiza młodej, subtelnej duszy, którą cierpienie hartuje i pogłębia.



KALENDARZYK OGRODNICZY.

Marzec.

A). *W ogrodzie owocowym.*

W tym miesiącu roboty powinny postępować przyspieszonem tempem, więc przedewszystkiem kończyć zajęcia zimowe: oczyszczać, przecinać i odmładzać drzewa. Do właściwych zajęć marcowych należy: cięcie wiosenne, formowanie i rozpinanie na prętach drzew karłowych. Podczyszczanie szczepów z bocznych gałęzi, formowanie koron na trzyletnich drzewkach. Zależnie od warunków atmosferycznych, około 15-go wydobyć z ziemi zadołowaną winorośl, a gdy przywyknie do powietrza, a mrozy się nie powtórzą, rozpiąć ją na szpalerach. Odkrywać ostrożnie brzoskwinie, morele. Drzewa owocowe zasilać nawozami naturalnemi i sztucznemi (potasowym i fosforowym). Porobić odkłady z porzeczek, agrestu. Sadzonki winorośli, ścięte w jesieni, zasadzić w inspekt o temperaturze $+10^0$ R. Przesadzać wszelkie drzewa, z wyjątkiem iglastych. Przygotować zrazy do szczepienia. Zrosić drzewa i krzewy owocowe 50% siarczanem miedzi.

B). *W ogrodzie warzywnym.*

W inspekcie ciepłym: siać melony, ogórki lub wyhodowane w cieplarni z bryłką przesadzać do skrzyni. Siać do uprawy gruntowej: cebulę, kalafiory, karczochy, kalarepę, kapustę włoską, brukselską, pory, pomidory, które z końcem miesiąca przesadza się do doniczek.

W inspekcie zimnym: siać rzodkiewkę z karotą paryską, rozsadzić sałatę.

Na gruncie: siać marchew, pietruszkę, szpinak, szczaw — przy końcu miesiąca: rzepę, groszek cukrowy i t. d.

C). *W ogrodzie kwiatowym.*

Obcinać drzewa i krzewy (z wyjątkiem tych co kwitną na wiosnę), nadając zamierzony kształt — po ustąpieniu mrozów — sadzić krzewy. Odkryć róże, zadołowane w ziemi, zasilać nawozami płynnemi. Przygotowywać, mierzwiąc kompostami i przekopując, miejsca przeznaczone na kwietniki. Zasiewać i odnawiać trawniki. Okopać i oczyścić byliny kwiatowe.

Siać w umiarkowanym inspekcie: płomyki (Phlox), witulki (Verbena), stroiczka (Lobelia), złoty rumianek (Pyrethrum), żemirzek (Ageratum), lwia paszcza (Antirrhinum), grzebionatka (Celosia), goździki letnie (Dianthus), zawieratka (Petunia) i t. d. wogóle wszystkie rośliny roczne,

które w kwietniu i maju przesadzamy na zagonki. Rośliny liściaste, ozdobne i trawy siać w ciepły inspekt.

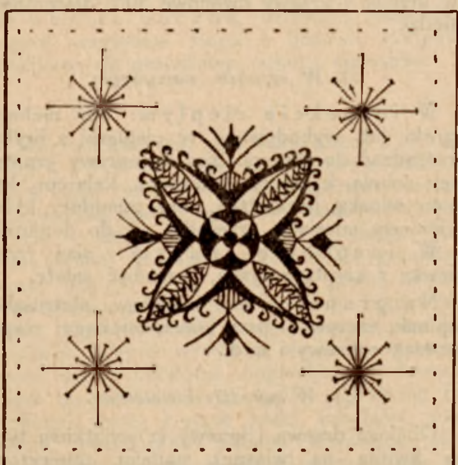
W szklarniach: rozmnażać rośliny, przeznaczone do kobierców, jak: pelargonje, ułanki, heljotropy. Mnożyć rośliny szklarniowe, przesadzać te, które tego potrzebują, skutkiem silnego wzrostu. Przycinać korony roślin, dla nadania im zamierzonego kształtu. Szklarnie przewietrzać coraz więcej.

Sadzić w szkółce dziczki róż i t. p. do letniego oczkowania.

CZY UMIECIE ROBIĆ BATIKI?

To bardzo łatwo! — Sprobujcie!

Technika batikowa polega na pokrywaniu woskiem tych miejsc na materjale, które przy farbowaniu chcemy pozbawić danego barwika.



Wzór na chusteczkę batikową (do 4-o krotnego powiększenia).

Jedynem narzędziem, którem się posługujemy jest tak zw. pisak. W naczyńku tem, podgrzewanem nad lampką spirytusową, utrzymujemy wosk roztopiony stale w jednej temperaturze; (z dodatkiem $^1/_4$ kalafonji, jeśli chodzi o batikowanie materji). Prowadząc pisak po powierzchni przedmiotu zdobionego, otrzymujemy formy charakterystyczne dla batiku.

Pożądanem jest w dobieraniu form batikowych posługiwanie się najprostszemi elementami n. p.: linją (we wszelkich odmianach, prostą, gzygzakowatą, łamaną, przerywaną), kropką, kółkiem, gwiazdką, kwadracikiem, trójkątem i t. p.

Dobierać je należy tak, aby zawsze kontrastowe formy obok siebie występowały, n. p. kółka obok kwadratów, kropki obok linji, linje proste z łamanemi, formy większe, cięższe, płaszczyznowe obok lekkich linijnych (jak na wzorze).

Formy większe zazwyczaj rozbijamy mniejszemi, bądź tworząc nowe, bądź wprowadzając drobne elementy.

Barwików w praktyce używa się różnych, od najtrwalszych, roślinnych, anilinowych do rozpuszczalnych w zimnej wodzie (Wibrafix) a nawet zwykłego paletynu. Temperatura barwika naturalnie musi być niższa, od topliwości wosku. Barwimy od jasnych kolorów do najciemniejszych n. p. mamy chusteczkę barwy białej, przed zmaczaniem w barwiku żółtym, pokrywamy woskiem te miejsca, które chcemy mieć białe, następnie zanurzamy materjał w farbie. Po wyschnięciu, znów pokrywamy te miejsca woskiem, które mają pozostawać żółte, tym razem barwimy n. p. w niebieskiej farbie, niebieska w połączeniu z żółtą daje zieloną. W batiku farby nakładają się jedne na drugie i dają najrozmaitsze kombinacje, z tem trzeba się zawsze liczyć i robić przedtem próby, aby nie mieć przykrych niespodzianek. Możemy poprzestać na dwóch barwieniach. Końcowe usuwanie wosku odbywa się za pomocą żelazka i bibuły, jeśli chodzi o papier, lekkiego zeskrobania — z drzewa, a wyprania benzyną z materji. W przykładzie podanym wyżej, otrzymujemy białe płaszczyzny, żółte i zielone.

H. B.

NASZE SZKOŁY.

Miejska szkoła gospodarstwa domowego w Krakowie przy ul. Pędzichów l. 13, została założoną przez Gminę Miasta Krakowa w 1910 r. Pierwszą dyrektorką była p. Bolesława Bieńkowska, zasłużona nauczycielka ze Lwowa. Po upływie roku otworzono przy szkole seminarjum, kształcące nauczycielki do szkół gospodarstwa domowego.

Celem szkoły jest wychowanie i kształcenie uczennic na dzielne gospodynie, które swoją gospodarnością i pracą podniosłyby dobrobyt domów, a z tem i całego narodu — wychowane zaś w duchu religijnym i narodowym stały się jak dawne Polki, prawdziwemi kapłankami ogniska domowego.

Zgłasza się też do szkoły dużo dziewcząt nietylko z Krakowa, ale i z dalszych dzielnic Polski, a nawet z Niemiec i Ameryki.

Zdawało się nieraz, że zniemczone Ślązaczki, które z pewną pogardą odnosiły się do tego, co polskie, wyjeżdżały ze łzami w oczach, mówiąc, że tu dopiero zrozumiały, że są Polkami.

Przedmiotami nauki kursu rocznego, który trwa od początku września do końca czerwca są: gotowanie, porządki, krój i szycie bielizny, krawieczyzna, cerowanie i łatanie, modniarstwo, pranie i prasowanie, ogrodnictwo (praktyka).

Wykłady teoretyczne obejmują: religję, język polski i historję Polski, naukę o wychowaniu, naukę o prawach i obowiązkach obywatelskich, pogadanki na tematy bieżące, rachunki, naukę o środkach spożywczych, teorję gospodarstwa, naukę podawania potraw i usługiwania przy stole, śpiew i ogrodnictwo (teorją).

Nauka odbywa się codziennie od godz. 8-ej do 11-ej (wykłady), 11½ — 3 (zajęcia praktyczne).

W godzinach popołudniowych odbywają się specjalne kursy gotowania, krawieczyzny, kroju i szycia bielizny, modniarstwa, robót ręcznych i trykotarstwa, 3 razy w tygodniu dla pań, 2 razy dla służących, 1 raz na tydzień dla uczennic szkół średnich.

Przedmiotów praktycznych uczą nauczycielki, wykształcone pedagogicznie i fachowo, nauki zaś teoretycznej udzielają nauczycielki i profesorowie o wyższem wykształceniu.

Uczennice, wstępujące do szkoły, muszą mieć ukończone najmniej 14 lat, oraz szkołę powszechną. Zgłaszają się jednak uczennice z wykształceniem średniem, a niekiedy i uniwersyteckiem.

Na jednorocznym kursie gospod. dom. najwyższa liczba uczennic może być 36, na kursach specjalnych 18. Wskutek jednak bardzo dużego napływu uczennic bywa nieraz i więcej.

Z ukończeniem każdego kursu, uczennice otrzymują świadectwa. Uczennicom szkoły wolno należeć do takich organizacyj, jak: sodalicja, harcerstwo i t. p. z zastrzeżeniem, żeby wskutek tego nie zaniedbywały obowiązków szkolnych. W szkole samej istniały związki harcerskie i „siostrzane kółko", które miało na celu samopomoc koleżeńską, a przed wojną, wspieranie pokrewnej szkoły gospodarstwa w Orłowej na Śląsku.

Uczennice po ukończeniu szkoły są przygotowane do prowadzenia gospodarstwa tak we własnym domu, jak i w obcym, o ile są zmuszone w ten sposób zarabiać.

W drugim roku istnienia otrzymała M. szkoła gosp. dom. prawo publiczności.

Proszę jednak nie myśleć, że tylko w 1910 r. szkoła nasza miała taką zacną dyrektorkę, bo i w 1925 r. mamy równie dobrą kochaną Panią Dyrektorkę — i całemu Gronu nauczycielskiemu bardzo jesteśmy wdzięczne, bo nas uczą pracować i pracę kochać.

Chciałabym, żeby dużo dziewczynek ze szkół średnich zapisywało się na nasze kursa, żeby wszystkie przekonały się, jak to miło jest umieć samej wszystko zrobić w domu.

Kto nie wierzy, niech przyjdzie zobaczyć jak tu u nas wesoło jest i przyjemnie.

Jagienka Tałasiewicz.

Gimnazjum SS. Urszulanek w Lublinie.

SPRAWOZDANIE KÓŁKA KRAJOZNAWCZEGO.

15. września 1922 roku założyłyśmy Kółko Krajoznawcze im. Marji Curie-Skłodowskiej. Pracę rozłożyłyśmy na dwa lata t. j. na klasę V. i VI.

W roku pierwszym zajęłyśmy się badaniami etnologiczno-geograficzno-geologicznemi Polski; a w następnym — poznaniem kraju pod względem kultury i sztuki rodzimej, a przedewszystkiem Lublina, jako miasta, w którem spędzamy naszą młodość.

Geograficzno - geologiczne poznanie ziemi ojczystej łączyło nas ściśle z lekcjami geografji i geologji. Miało ono na celu nietylko pomoc w zrozumieniu obowiązkowych szkolnych wiadomości, ale przedewszystkiem pogłębienie tychże. Może napozór praca ta jest nudna i uciążliwa, ale ona to wytłomaczyła nam najciekawsze zjawiska przyrody, powstanie gleby naszej i wszelkie jej przemiany. To poznanie tajników i najskrytszych tajemnic naszej ziemi ułatwiłyśmy sobie wycieczkami geograficznemi i geologicznemi. Do najciekawszych zaliczyłabym zwiedzenie okolic Lublina.

Z dość małej przestrzeni doliny Bystrzycy i jej stoków loessowych odtworzyliśmy sobie dzieje przeszłości, idąc z zachwytem krok w krok, chwilę za chwilą, za przewodnikiem umysłowym w krainę cudów przeszłości. Witałyśmy przybyszów z dalekich szerokości północnych, startych na miał urodzajny, dzięki któremu Polska jest krajem rolniczym.

Na zebraniach Kółka wygłaszałyśmy referaty, odnoszące się do całej Polski, a najwięcej do Tatr, najpiękniejszego zakątka naszej Ojczyzny.

W drugim roku zajęłyśmy się w szczególny sposób poznaniem miasta: jego zabytków sztuki i architektury i pamiątek historycznych. I tu dopomagały nam referaty. Dziś w ogólnych zarysach znamy miasto dobrze i kochamy je. Kiedyś możemy o niem napisać coś do gazetki.

Wycieczki do Warszawy, Lwowa, Wilna i Białowieży, a także do Zwierzyńca lubelskiego, ordynacji hr. Zamoyskiego, wzbogaciły naszą znajomość Polski w nader miły sposób.

Przez dwa lata oddawałyśmy się pracy w Kółku z prawdziwem zamiłowaniem. Cele podobnych stowarzyszeń sięgają znacznie dalej, aniżeli szczupłe plany, zakreślone przez nas. Jednak nie mamy sobie nic do zarzucenia. Nie dorosłyśmy jeszcze, aby pracę tę rozwinąć w zupełności, chciałybyśmy tylko zdobyć choć małą cząstkę nowych wiadomości, aby w przyszłości dołożyć choć jedną cegiełkę dla dobra Ojczyzny. Każda bowiem praca niesamolubna musi przynieść owoce.

Ze względu na obszerny zakres obowiązkowej pracy w innych przedmiotach naukowych, musiałyśmy w klasie VII. nasze Kółko Krajoznawcze rozwiązać. Ale nie opuściłyśmy skrzydeł. — Zburzono Troję, aby powstał Rzym.—

Obecnie na gruzach Kółka Krajoznawczego im. Marji Curie-Skłodowskiej zbudowałysmy stowarzyszenie „rzeczy poważnych“, które oby stało się Rzymem.

Hala Szydłowsku, ucz. kl. VII. gimn.

PORADNIK GOSPODARCZY.

Grzyby w cieście, to mało znana potrawa, którą bez trudności, nawet młodziutka kuchareczka-uczennica przyrządzić zdoła. Trzeba tylko 6 prawdziwych grzybów suszonych, średniej wielkości ugotować w $^{1}/_{2}$ litr. wody — nie zapominając dodać soli według smaku — a jeśli kto lubi to i cebulki i korzeni. Po 2—3 godzinnem gotowaniu, gdy grzyby zmiękną, wyjąć je na durszlak, by odciekły. Pozostały smak zagotować znowu, zalewając go 2-a łyżkami śmietany, zmieszanej z jedną łyżką mąki (uważać by mąka nie zbiła się w grudki, więc dobrze wprzód zmieszać). Ten sos po zagotowaniu zostawić na boku kuchni, by nie wystygł. Białka z 3-ch jaj ubić na pianę, gdy stanie, wrzucić do niej pozostałe 3 żółtka, zmieszane z odrobiną soli i 3-a łyżkami mąki. Zmieszać wszystko razem. Ugotowane grzyby maczać w tem cieście i smażyć na gorącem maśle. Gdy się przyrumienią, przewrócić na drugą stronę. Podać na ogrzanym półmisku, równocześnie ze sosem, zlanym do sosjerki. (Porcja na 3—6 osób zależnie od apetytu).

Prawda, że robota nie trudna? Jeśli same potrawę tę przyrządzicie, to już nikt nie będzie mógł z was żartować, że jesteście tylko kuchareczkami od leguminek!

Więcej kłopotu, ale i więcej powagi dodadzą kucharskiej mości:

Śledzie w galarecie. 6 śledzi wymoczyć w zimnej wodzie przez 24 godzin (tak, żeby całe śledzie były zalane). Wyjąć potem z nich ości, wysmarować wewnątrz musztardą, ułożyć w salaterce i zalać galaretą, zrobioną w następujący sposób: $^{1}/_{4}$ litra wody, 3 łyżki octu, 1 łyżka cukru, 5 listków bobkowych, 1 marchewka i 1 pietruszka (poprzednio ugotowane i w paseczki pokrajane), 3 listki żelatyny razem zagotować, potem odstawić, a gdy trochę ostygnie, zalać tem śledzie; gdy zastygnie, podać na stół w tej samej salaterce.

Po tak „poważnych“ potrawach możemy sobie „pour la bonne bouche“ pozwolić na

Kremik czekoladowy. W tym celu 3 żółtka ukręcimy z 3-a łyżkami cukru. Ugotujemy 2 łyżki kakao w $^{1}/_{2}$ szklanki mleka. Osobno zagotujemy 3 listki żelatyny w $^{1}/_{2}$ szklanki wody. Do ukręconych żółtek wlejemy powoli, ciągle mieszając, ugotowane kakao, następnie (ciągle dalej mieszając) żelatynę, dodając, jeśli kto lubi, trochę sproszkowanej wanilji dla zapachu. Wszystko razem zmieszamy lekko z pianą, ubitą z pozostałych 3-ch białek, włożymy do formy, zaniesiemy do piwnicy, a gdy zastygnie, wyłożymy na półmisek, przewracając formę dnem do góry. Ubrawszy kremik biszkoptami, podamy go do stołu — ku wielkiej uciesze i dużych i małych biesiadników.

ŁAMIGŁÓWKI SZARADY.

ZADANIE KONIKOWE.

(Ułożyła Hala W.).

Oznacza piękne zdanie Elizy Orzeszkowej.

Lu	to	spal	świą	i	ją
ców	ty	de	cy	o	do
e	dzie	dzwo	ni	ży	cy
ny	zwo	cha	dla	re	ją
ko	i	któ	łu	ją	nich

SZARADA.

(Ułożyła J. P.).

Dostatni posag, piękne trzecie, czwarte i bramy wciąż dla gości na oścież otwarte, starczą, by pierwsza, druga, trzecia, czwarta cała, zwrócone pierwsze, drugie na panienkę miała.

ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożyła H. W.).

Litery czytane po przekątni (w pierwszym wyrazie — pierwsza, w drugim — druga i t. d.) dadzą nazwę czegoś nowego, a naszym Czytelniczkom znanego.

Znaczenie wyrazów: 1) Port, 2) Wódz polski, 3) Reformator religji, 4) Miejscowość w Inflantach, pamiętna z wojen Batorego, 5) Zakon męski, 6) To, co najwięcej wewnątrz osłabiło dawną Polskę, 7) Księstwo przyłączone przez Ludwika XIV., 8) Związek szwedzki w XVII w., 9) Minister Ludwika XIV., 10) Dynastja w Polsce.

Rozwiązanie zadań z Nr. 2.

Łamigłówki geograficznej. 1) Oliwa, 2) Grudziądz, 3) Tuchola, 4) Ujście, 5) Inowrocław, 6) Pułtusk, 7) Piotrków, 8) Puławy, 9) Zawichost, 10) Kraków, 11) Przeworsk, 12) Katowice, 13) Częstochowa, 14) Łowicz, 15) Radom, 16) Września.

Rozwiązanie dobre nadesłano 1.

Łamigłówki 2-ej. Złodziej schowany w pokoju 3-im gdy zobaczył policjanta wchodzącego do pokoju 1-go i gdy go usłyszał w pokoju 2-im, przebiegł do pokoju 5-go gdzie poczekał aż policjant wejdzie pod Nr. 4, żeby dostać się pod Nr. 1 już obszukany. Podczas gdy policjant obszukuje Nr. 6, złodziej napowrót wraca do Nr. 3-go.

Podobnie postępuje gdy drugi policjant zaczyna szukanie. Mądry złodziej gdy słyszy policjanta w Nr. 6-ym, przechodzi pod Nr. 1, potem podczas szukania w Nr. 4-m, znowu do Nr. 5-go, a wreszcie znów wraca do pierwotnego schronienia w Nr. 3-im.

Gdy zaś jeden policjant zaczął poszukiwanie w 5-ym i 6-ym, a drugi w 1-ym i 2-im, złodziej chyłkiem przemyka się korytarzem i schodami nie pilnowanemi ucieka na ulicę.

OD REDAKCJI.

M. S. w Lublinie. Za list dziękuję. Na obiecane prace cieszę się. Zwłaszcza na porównawczą ocenę London'a „Zew krwi" i Reymonta „Bunt".

Halu w Lublinie. I twój liścik radość mi sprawił. „Trudną" łamigłówkę rozwiązałaś prawie dobrze, a w łatwej pomyliłaś się. I mnie żal Natalki — ale zakończenie wcale mnie nie zdziwiło, bo każda z tych panienek tylko własnej przyjemności szukała, a podstawą przyjaźni trwałej musi być wspólne ukochanie jakiego wyższego ogólnego celu. Zadowolenie ambicji lub czułostkowości nie starczy na długo.

Luko B. — Czy znasz Cicerona „De amicitia"? Radzę ci też przeczytać Rozdz. 42 z III ks. „O naśladowaniu Jezusa Chrystusta". Te natchnione słowa dużo ci dadzą do myślenia. Tematem przyjaźni zajmują się m. in. Oskar Wilde, który napisał książkę p. t. „Szczęśliwy książę", Orwicz, „W imię przyjaźni". Za wiele tematów poruszyłaś w swym liście, więc nie mogę na wszystkie odpowiedzieć. Może je omówimy ustnie? Redakcja przyjmuje codziennie od 4—6 pp.

Wołynianko. Twój „obrazek" — nie nowelka — byłby odpowiedniejszy na jesień, więc

go teraz nie wydrukujemy. Przyślij nam więcej prac twych do wyboru.

Ksawery. „Nowelka“ ładniutka może niedługo doczeka się kolei swej na kartach „Dziś i Jutro“. Nie dziwię się, że porównawczej recenzji dzieła London'a i Reymonta jeszcze nie skończyłaś. Taka praca wymaga więcej czasu, więc nic nie szkodzi, jeśli ją później nadeślesz.

Irmie H. w Kołomyi. Winszuję powodzenia przy konkursie nalepkowym. Ze szczególnem zajęciem patrzeć będę na tegoroczne nalepki 3 Maja.

Stokrótkę proszę o podanie do wiadomości Redakcji nazwiska i adresu, bo bez tego łamigłówki ogłosić nie możemy.

Proponujecie:

Konkurs na okładkę do „Dziś i „Jutro“

i owszem, chętnie zgadzam się. Rysunek wykonany być musi w jednym kolorze, najlepiej czarnym tuszem. Proporcja ta sama co w obecnej okładce. Prace nadesłać trzeba do dnia 1 maja. Proszę nie zapomnieć, że oprócz godła (czy pseudonimu) musi być podane dokładnie nazwisko i adres tej, która pracę wykonała. Prac anonimowo nadsyłanych Redakcja nie uwzględni. Praca najlepsza znajdzie się na okładce numerów letnich.

Chcecie także mieć:

2-gi konkurs na winietki

i na to zgoda — zostawiając wszelką swobodę waszej pomysłowości w tym względzie — proszę o nadsyłanie prac również do 1 maja.

Redakcja.

SPROSTOWANIE BŁĘDÓW z Nr. 2.

str. 39, wiersz 4 i 8 od góry:
zamiast: jestto ma być: jest to
str. 46, wiersz 5 od góry:
zamiast: w mamidłach ma być: w mamidła
str. 56, wiersz 3 od dołu:
zamiast: wodami ma być: woalami
str. 58, wiersz 7 od dołu:
zamiast: Dziecię Jezus ma być: Dziecięcia Jezus

TREŚĆ Nr. 3.

WARUNKI PRZEDPŁATY.

Rocznie w kraju 6 zł, zagranicą 8 zł. Półrocznie w kraju 3 zł, zagranicą 4 zł. Przedpłatę nadsyłać do Administracji „Dziś i Jutro“, Kraków, ul. Starowiślna 3. Szkołom zamawiającym większą ilość egzemplarzy, do każdych 10-u dołącza się 11-y egzemplarz bezpłatnie. Konto P. K. O. 404.930.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. 100 zł, 1/2 str. 60 zł, 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 20 zł.
Przy wielokrotnych ogłoszeniach opust według umowy.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.*
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.


DRVKARNIA·POLSKA
KRAKÓW